Nr. 56. Lwów — Piątek dnia 8 Marca. Rok 1895.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Dziś: św. Jana Boż. — O. hol. ś. Joana
Jutro: św. Franciszki — Tarasia Arch.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 6 m. 36
Zachód „ „ 5 „ 48

Długość dnia g. 11 m. 12
Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Ponieważ I kwartał ma się ku końcowi, przeto upraszamy naszych prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnawianie przedpłaty. Wynosi ona z przesyłką pocztową na prowincyi:
Miesięcznie 1 zł 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Za każdą zmianę adresu należy zapłacić 20 ct.

Przegląd polityczny.

Lwów 7 marca.

Międzynarodowa konferencya monetarna zapewne będzie zwołana, bo już rządy porozumiewają się w tej sprawie, lubo czynią to od niechcenia, jak gdyby nie wierzyły w skuteczność zamierzonego środka. Idzie bowiem nie o zaprowadzenie podwójnej waluty, lecz o jakieś ustalenie wartościowego stosunku między srebrem a złotem. Tak brzmi rezolucya parlamentu niemieckiego, tak samo uchwalił 27 lutego senat waszyngtoński i tak samo oświadczyła się angielska izba gmin podczas rozprawy 26 lutego nad wnioskiem Everetta, a tylko potężna liga rolników francuskich (Société des agriculteurs de France) przyjęła na walnem zgromadzeniu 28 lutego rezolucyę, domagającą się podwójnej waluty. Uchwaliła ona: „1) popierać narodową ligę bimetalistów; 2) wezwać rząd do układów z Anglią, Niemcami i republiką północno-amerykańską, oraz z państwami należącemi do łacińskiej monetarnej unii, aby można było wprowadzić wszędzie podwójną walutę, a gdyby to się nie udało, natenczas rząd francuski powinien porozumieć się z tymi rządami, które są za bimetalizmem, i zawrzeć z nimi odpowiednią ugodę; 3) gdyby jednak porozumienie międzynarodowe nie dało żadnego rezultatu i w skutek uporu niektórych państw okazało się niemożliwem, natenczas rząd francuski zbada, ażaliby sama Francya nie mogła ustanowić u siebie wolnego bicia srebrnej monety“. Otóż gdyby wszędzie oświadczono się tak stanowczo za podwójną walutą, jak to uczyniono we Francyi, natenczas cel konferencyi międzynarodowej byłby jasno określony, stanowczy i godny tej walki, jaką trzeba byłoby stoczyć z agitacyą potężnych zwolenników złotej waluty. Na nieszczęście jednak w Stanach Zjednoczonych zdobywają coraz większe znaczenie republikanie, będący stronnictwem wielkich przemysłowców, a więc zwolenników monometalizmu. Izba reprezentantantów teraz jeszcze ma większość demokratyczną, ale już zachwianą w swej energii, bo nowa izba, która zacznie urzędować w tym miesiącu, już będzie posiadała większość republikańską. Ta zmiana wpłynęła i na senat, który zamiast stanowczego oświadczenia się za bimetalizmem uchwalił tylko wezwać rząd do udziału w konferencyi międzynarodowej dla uregulowania wartościowego stosunku między dwoma metalami. Uczynił to senat waszyngtoński wbrew wyraźnemu interesowi kraju, bo w jego skarbcu znajduje się złota tylko na sześćdziesiąt kilka milionów dolarów, a tymczasem oprócz papierowych pieniędzy, wypuszczonych po wojnie domowej w latach 1860—1865 na sumę 425 milionów 840 tysięcy dolarów, kursują jeszcze certyfikaty srebrne (silver certyficates) wypuszczone w zamian za nabyte przez rząd 460 milionów uncyi srebra. To nabywanie srebra wprost od właścicieli dokonywało się na mocy dwóch uchwał: jednej z r. 1878, zwanej „Bland Act“, i drugiej — „Sherman Act“ — z roku 1890. Oba te akty postanawiały, że skarb państwa musi co miesiąc brać od właścicieli kopalń 2 miliony, a od 14 lipca 1890 roku 4 miliony uncyi srebra i płacić za ten towar certyfikatami, mającymi kurs w państwie na równi z pieniędzmi papierowemi. Według zaś zasadniczego postanowienia monetarnej ustawy Stanów Zjednoczonych, wolno każdemu obywatelowi zażądać od banku państwowego, aby zmienił mu papierowe pieniądze na złote monety. To więc stale czynili ci obywatele, ogołacali własny skarb ze złota, które sprzedawali w Europie i w ten sposób doprowadzili do tego, że w piwnicach banku państwowego znajduje się złota za 60 kilka milionów i srebra w sztabach za 3 miliardy, a w kraju kurs je not państwowych i certyfikatów srebrnych na ogólną sumę pięciu miliardów franków. Gdyby tedy naraz przedstawiono te papierowe pieniądze do wymiany na złoto, toby nastąpiło bankructwo. Można temu zapobiedz ustawą, uchwaloną na pewien szereg lat, że bank nie jest obowiązany mieniać papierowych pieniędzy na złoto i to właśnie doradzają ekonomiści amerykańscy. Ale jest jeszcze inna bieda. W roku 1870ym złoto było droższe od srebra razy piętnaście i 58 setnych. W roku 1878, kiedy uchwalono „Bland Act“, dawano już za kilo złota 17 i 94 setnych kilo srebra, a dziś jest ono tańsze od złota 35 razy. Wynika z tego, że skarb państwa zakupił za 3 miliardy towaru, który stracił połowę swej wartości, czyli, że fundusz państwowy zubożał mniej więcej o półtora miliarda. Jasną tedy jest rzeczą, że Stany Zjednoczone powinny dokładać wszelkich usiłowań, aby srebro podrożało, wróciło do swej ceny z roku 1878, bo wtedy strata skarbu byłaby pokryta. Jasną również jest rzeczą, że nic tak nie może podnieść tej ceny, jak zaprowadzenie bimetalizmu. O to więc powinien zabiegać rząd waszyngtoński, tymczasem senat tamtejszy nie zdobył się nawet na taką rezolucyę, jak związku rolników francuskich. Widzimy w tem jaskrawy dowód olbrzymiej potęgi świata przemysłowego, który nie chce innej waluty, prócz złotej, choćby to nieuchronnie prowadziło nietylko do bankructwa ziemi i rzemiosła, ale nawet całego państwa.

Konferencya międzynarodowa, na którą się zanosi, z góry skazana jest na rolę mniejszą, niż jej z początku dać chciano, ale za to na o wiele trudniejszą. Zatkać uszy na hałasy potentatów worka i wielkiego przemysłu, a pod względem monetarnym izolować Anglię, będącą jednym workiem złota i jednym wielkim przemysłowcem, i równocześnie stworzyć unię bimetalistyczną, do której weszłyby wszystkie inne państwa cywilizowane — to zadanie, niezaprzeczenie, nadzwyczaj trudne, ale jednak możliwsze, niż ustalić wartościowy stosunek między dwoma metalami, z których jeden jest wyrzucony z międzynarodowego obiegu monetarnego, a więc używany w małej ilości, podczas gdy produkcya jego ciągle się wzmaga, a drugi, jako jedyna międzynarodowa moneta, potrzebny jest w ilościach coraz większych, a dobywa się go z kopalń coraz mniej. Niezawodnie, można na konferencyi uchwalić naprzykład to, co dla ceny srebra zrobiły w Stanach Zjednoczonych Bland-Act i Sherman-Act, można także obmyśleć jakiś inny sposób, mniej od tamtego niebezpieczny dla majątku państwowego, ale to będą zaledwie półśrodki, których skutek może trwać lat parę, albo nawet parę miesięcy, poczem reakcya wróci jeszcze silniejsza. Znany ekonomista francuski Paweł Leroy-Beaulieu, rozważając bardzo gruntownie wszystkie możliwe skutki ugody międzynarodowej, regulującej wartościowy stosunek między złotem i srebrem przy zachowaniu waluty wyłącznie złotej, używa porównania bardzo trafnego, mówi bowiem: „Dzisiejsze stosunki ekonomiczne można porównać do chorego na neuralgię, który dawkami morfiny ból swój uśmierza, ale choroby nie leczy, owszem morfiną osłabia organizm, czyni go coraz mniej zdolnym do walki z chorobą, więc dawki powiększa i częściej je aplikuje, aż wreszcie przychodzi chwila, w której już morfina nie działa. Zupełnie tak samo, jak ta morfina na neuralgika, będą na stosunki ekonomiczne działały dawki ustawowe, regulujące wzajemną wartość srebra i złota. Wszelka inna radykalna kuracya będzie lepsza: albo bimetalizm, albo monometalizm srebrny, albo waluta papierowa“.

Tak mówi uczony, posiadający w tych sprawach wielką powagę. Oczywiście nie inaczej będą się na to zapatrywali delegaci rządów na konferencyi międzynarodowej, a więc z góry można powiedzieć, że rezultat jej będzie tak samo żaden, jak konferencyi brukselskiej w roku 1892-im. Rolnicy domagają się od rządów jakichś usiłowań w kwestyi monetarnej, więc rządy chętnie okazują skłonność do tych usiłowań; domagają się konferencyi międzynarodowej — będą ją mieli; a że ona nic nie zrobi naprawdę dobrego, to już wina nie rządów, których rolnicy nie będą mieli prawa oskarżać o obojętność. Oto wszystko i oto dlaczego jest zgoda na konferencyę, chociaż nie ma wiary w jej skuteczność.

W Belgii coraz nieprzyjemniej wikła się sprawa objęcia Konga na własność państwa. Wytwarza się z niej kwestya nietylko gabinetowa, ale i dynastyczna. Wspominaliśmy już, że agitacya socyalistyczna i radykalna zdołała podburzyć lud przeciw projektowi zaboru Konga i że deputowani większości, zatrwożeni o swe mandaty, chwiać się zaczęli, a potem zrywać w tej sprawie solidarność z własnym gabinetem. Wówczas ministeryum postanowiło odwlec sprawę do roku 1900-nego i projekt swój zmienił w ten sposób, że teraz miało iść już nie o aneksyę Konga, lecz tylko o uchwałę, że przez ostatnie lata bieżącego stulecia Belgia będzie pokrywała ewentualne niedobory w budżecie Konga, przez co oczywiście wytworzyłoby się faktycznie to, co byłoby i po dokonaniu aneksyi, z tą różnicą, iż po sześciu latach Belgia mogłaby zrzec się dalszych świadczeń Kongu. Ministeryum nie ukrywa, że dopłaty są nieuniknione, ale utrzymuje, że z każdym rokiem będą mniejsze, tymczasem zaś Belgowie gruntownie poznają wartość tej kolonii i w roku 1900nym uchwalą aneksyę. Jednakże i na tak zmieniony projekt niepodobna znaleźć parlamentarnej większości. Otóż w brukselskiej *La Chronique* pojawiło się zapewnienie, otrzymane od deputowanych, że w danej chwili cała ta sprawa przedstawia się bardzo przykro, gdyż na ostatniej radzie gabinetowej postanowiono projektu aneksyi nie cofać, lecz w razie jego odrzucenia podać się do dymisyi. Rozwiązanie parlamentu i wybór nowego pod hasłem aneksyi nie rokuje nic dobrego przy teraźniejszem usposobieniu dla tej sprawy ludności. Kiedy więc zapadło postanowienie ustąpić w razie odrzucenia projektu zaboru Konga, wówczas szef gabinetu de-Burlet oświadczył ministrom, iż król zupełnie solidaryzuje się z rządem i złoży koronę.

Rozprawy o kodeksie karnym.

Piszą nam z Wiednia dnia 5 b. m.

Izba poselska zakończyła wczoraj rozprawy o VI-tym rozdziale 2-giej specyalnej części kodeksu karnego. Ponieważ równocześnie z powodu rozpraw o reformie podatkowej nastała przerwa w dyskusyi kodeksu karnego, warto zastanowić się nad jej dotychczasowymi rezultatami.

Wyjąwszy cztery paragrafy, odesłane do komisyi, Izba uchwaliła 146 paragrafów, a zatem mniej więcej 4-tą część całego kodeksu. Pomiędzy uchwalonymi paragrafami znajdują się najważniejsze i najdrażliwsze, bo tak zwane polityczne, t. j. dotyczące zbrodni i przestępstw przeciwko władzy państwowej, parlamentowi, porządkowi publicznemu i t. d. Te też tylko paragrafy wywołały dyskusyę ożywioną, chociaż mniej rozwlekłą i zagmatwaną, niż w Berlinie odpowiednie, po części mniej ostre przepisy tak zwanych ustaw przeciwko przewrotowi.

Co mianowicie dotyczy paragrafów, omawiających „zbrodnie i przestępstwa względem działalności i wyboru publicznych ciał reprezentacyjnych“ (rozdział IV), stanowią one innowacyę, która niestety stała się konieczną. Przed 35 laty nikt w Austryi nie przewidywał potrzeby obrony parlamentu przeciwko masom. Wtedy podejrzywano chyba pewne wsteczne żywioły o systematyczną niechęć do parlamentaryzmu, ale przypuszczano, że ogół ludności, a przynajmniej jej przeważna część, ustanowienie parlamentu, wprowadzenie konstytucyi, jako spełnienie swego gorącego życzenia wita z zapałem. Dziś przeciwnie, dość znaczna część ludności czyha na upadek parlamentaryzmu. Anarchiści otwarcie dążą do obalenia parlamentów jako czynnika władzy publicznej. Jeden z najgłośniejszych apostołów anarchizmu kniaź Krapotkin zapełnia całe książki epigramatami przeciwko parlamentom i z radością zapowiada: „On citera un jour le dix-neuvième siècle comme la date de l'avortement du parlamentarisme“. Socyalna demokracya na pozór przystaje na parlamentaryzm, ale tylko o tyle, o ile on tworzy środek agitacyi. Bo wprowadzenie w życie ustroju socyalno-demokratycznego z natury rzeczy musi pociągnąć za sobą upadek parlamentów. Socyalna demokracya wymaga dyktatury bądź to jednostki à la Lasalle lub Pankracy, albo dyrektoryatu, tryumwiratu etc., jak ten, który tak znakomicie naszkicował J. Donnelly w swej powieści z XX stulecia: „Pomnik Cezara“. Obrady parlamentarne, uszanowanie mniejszości, prawo opozycyi etc., to są rzeczy wręcz sprzeczne z naturą socyalno-demokratycznego państwa. De facto więc socyaliści, tak samo jak anarchiści, dążą do obalenia parlamentaryzmu, tymczasem zaś inne frakcye skrajne, uwiedzione ambicyą, nienawiścią lub bezprogramowem warcholstwem, pośrednio wspierają zamachy na parlamentaryzm, często nawet pod pretekstem — jego obrony! Dlatego dziś przepisy karne, strzegące parlamentu przynajmniej od prostego gwałtu, zbiegowisk, napaści i t. d., a pojedyńczych posłów od gróźb i wymuszeń, istotnie są niezbędne.

Warto zresztą przypomnieć, że odnośne paragrafy nowego austryackiego kodeksu karnego nie stanowią żadnego oryginalnego wymysłu. Jeżeli organ socyalistów *Arbeiter Zeitung* szydzi, że tylko parlament austryacki w skutek złego sumienia, czuje potrzebę obrony, to albo nie zna wcale prawodawstwa innych państw, albo też umyślnie w błąd wprowadza swych mało wykształconych czytelników. Bo np. paragraf 105 niemieckiego kodeksu karnego przewiduje zamach celem rozpędzenia sejmu lub parlamentu jednego z państw związkowych i karze tę zbrodnię co najmniej 5-letniem więzieniem; tenże kodeks karze zamach, zmierzający do zmuszenia sejmu do powzięcia pewnej uchwały lub do wstrzymania go od niej; również 5-letniem więzieniem, §. 106 wymienionego kodeksu karze tego, któryby gwałtem lub groźbami przeszkadzał posłowi zasiąść w izbie lub głosować.

Prawo angielskie więzieniem co najmniej 5-letniem zagraża każdemu, ktoby przygotowywał zamach, zmierzający do wywarcia przymusu na jedną z dwóch izb parlamentu. We Francyi kara 5-letniego więzienia, a nawet deportacyi, wymierzona za zamach przeciwko „władzy konstytucyjnej“, zagraża także wszelkiemu zamachowi na parlament. Artykuł 110 konstytucyi szwedzkiej opiewa: „Jeżeli jednostka lub grono wojskowe lub cywilne, albo zebranie pod jakąbądź nazwą, z własnego popędu, lub czyjegokolwiek rozkazu, usiłuje dopuścić się gwałtu na sejmie, jego izbach lub komisyach, lub na jednym z jego członków, albo zakłócić wolność obrad i uchwał, czyn taki będzie uważany jako zdrada stanu, a sejmowi przysługuje prawo wytoczenia sprawcom w legalnej formie procesu“. W podobny sposób strzegą parlamentu §. 104 belgijskiego i §. 167 hiszpańskiego kodeksu karnego. Świeżo zatem uchwalone ku ochronie ciał reprezentancyjnych paragrafy austryackiego kodeksu karnego całkiem przystawają do przepisów, które, niestety także we wszystkich innych państwach stały się koniecznemi!

Rozdział IV-ty, dotyczy zbrodni i przestępstwa „przeciwko czynności i powadze władzy państwowej“. Tu w rozprawach Izby wydarzyło się pierwsze wykolejenie. Albowiem odesłano do komisyi paragrafy 113, dotyczący zalecania karygodnych czynów, 115-ty, dotyczący oporu biernego członków ciał reprezentacyjnych, wreszcie 119 i 120, dotyczące zbiegowiska i rokoszu, tudzież poddania skazanych za te zbrodnie pod dozór policyi. Wprawdzie odesłaniu tych paragrafów do komisyi nie opierał się referent komisyi hr. Piniński, a Izba bardzo znaczną większością oświadczyła się za odesłaniem. Możnaby także przyznać, że pewne złagodzenia tych paragrafów nie zaszkodzą. Z tem wszystkiem ze względu na dalsze losy reformy kodeksu karnego odnośną uchwałę uważamy jako niewłaściwą.

Nowy kodeks stanowi organiczną całość. Różne jego paragrafy pozostawały w ścisłym ze sobą związku. Jak to słusznie na piątkowem posiedzeniu zaznaczył referent dr. Kopp „cały kodeks jest bardzo dobry i stanowi ważny postęp“. Jeżeli tak jest, natenczas dokładne i sumienne obrady komisyi powinny wystarczyć większości. Na każdy z 600 paragrafów nigdy się nie zgodzi około 230 posłów (tyle liczy większość) każdy z osobna. Jedynie solidarność większości wobec wniosków komisyi, ułożonych przez jej mężów zaufania w zgodzie z rządem, może zapewnić przeprowadzenie reformy. Gdyby mianowicie ulegano obstrukcyjnym deklamacyom opozycyi skrajnej, która pragnie uniemożebnić wszelką dodatnią pracę, natenczas trzebaby co chwila odsyłać paragrafy do komisyi i całą pracę rozpoczynać *ab ovo*. W danym razie, obok deklamacyi posłów opozycyjnych, artykuły *Neue Freie Presse* przyczyniły się do wywołania oporu przeciwko wymienionym paragrafom. My nigdy nie lękamy się spotkać z sądami wymienionego dziennika, a nawet musi się to zdarzyć zawsze wtedy, gdy on postępuje drogą wskazaną przez koalicyę. Równie stanowczo potępiamy zboczenie od tej drogi. Sam fakt, że posłowie młodoczescy, Pernerstorfer, *Arbeiter Zeitung* wyrzekając się nagle swej systematycznej nienawiści do *N. Fr. Presse*, z zapałem powitali jej artykuły o wymienionych paragrafach, powinien był ostrzedz ten dziennik i większość, że ta opozycya była wykolejeniem.

Koalicya tylko dlatego stała się możliwą, że niemiecka lewica wobec prądów skrajnych stała się stronnictwem poniekąd zachowawczem, że uznała konieczność obrony interesów państwowych i ładu społecznego, że się zmieniła, jak to przed trzema laty w znanej mowie otwarcie i stanowczo podniósł p. Plener. Tylko na tej podstawie stała się możliwa kooperacya stronnictw konserwatywnych z lewicą. Trzeba zatem przypuszczać, że niemiecka lewica jest bliższa stronnictwom konserwatywnym, niż ra-

---

5)

ILUZYA

OPOWIADANIE

przez *Zofię Kowerską.*

(Ciąg dalszy).

Ach! jakiż to był umysł żywy, jakie odczuwanie subtelne a własne, nie pożyczane! Miała takie odezwania się, takie uwagi, takie spostrzeżenia, jakiemi to czasem dzieci zdumiewają starszych. Coś w tej duszy było takiego, czego jeszcze ziemskie brudy nie dotknęły i to znać było w każdem słowie dziewczyny.

Z nią mówiąc, dopiero wątpić przestałem, że każda dusza była naprzód aniołem w niebie, a potem dostawała się do piersi nowonarodzonego dziecka. Zapytałem Zosi, zkąd im, przyjaciółkom od serca, przyszło na myśl wyrzekać się małżeństwa? Skorom ją tak podszedł niegodziwie i dowiedziałem się o zamiarze, więc mogła powiedzieć, zkąd się wziął.

Oto, jak się rzecz miała. Siostra ogrodnika, służącego u rodziców Zosi, umarła z suchot, zostawiając dwie małe dziewczynki. Że już ojca nie miały, więc pozostały zupełnemi sierotami. Nikt ich wziąć nie chciał, ogrodnik nie mógł ich wypędzić, więc zostały przy nim. O tem wszystkiem Zosia dowiedziała się dopiero, gdy raz, przechodząc, widziała ogrodnikową, znęcającą się nad dziewczynkami. Kobieta była w złości strasznej. Krzyczała, że je pozabija, bo to darmozjady. Tę kroplę mleka, co wydoi, to musi swoim od ust odjąć, a tym obcym dać. I biła dziewczynki, katowała je bez miłosierdzia. Scena ta takie na Zosi zrobiła wrażenie, że postanowiła choć kilkoro dzieci przez życie z takich katuszy uwolnić.

— Doprawdy! — mówiła, zażalone oczy czarne ku mnie podnosząc — kiedy jest tyle sierot na świecie, więc powinny być osoby, coby takie dzieci zbierały i wychowywały. Józia tak samo myśli.

Skończył się mazur. Ciotka Ludwika tak widocznie była zdesperowana mojem ciągłem uciekaniem po za krzesło Zosi, że mię chciała koniecznie wyłowić z tej toni, w której pogrążałem się coraz głębiej.

— Mój Władeczku! — szepnęła, zbliżając się do mnie i biorąc moje ramię do przejścia się po salonie — ja naturalnie udaję przed moimi gośćmi, że im dłużej mi dzis spać nie dadzą, tem mi będzie przyjemniej, ale ciebie proszę, żebyś tam jakoś wpłynął, by się tańce wcześniej skończyły. Jestem zmęczona, a ledwie parę godzin będę mogła być w łóżku.

— Dlaczego? Będziemy wszyscy spać długo.

— Oprócz mnie i Zosi Zbroińskiej.

— Cóż panie będą robiły?

— Muszę odwieźć Zosię. Przyrzekłam jej matce, że dziewczynę sama odwiozę. Zabrałam ją, bo się bałam, że danserek brakować będzie, ale pokazało się, że była niepotrzebna.

— Koniecznie zaraz ciocia odwieźć ją musi?

— Tak, przyrzekłam jej matce...

— Przyrzekła ciocia dziś jeszcze?

— No, nie; ale wolę zaraz zrobić to, co mam zrobić.

Poczułem się naraz siostrzeńcem niezmiernie czułym o zdrowie ciotki.

— Ja na to nie pozwolę! — zawołałem — poprostu nie pozwolę! Ciocia zmęczona, niewyspana, ma zaraz jutro lecieć dwie mile!

— Żeby to dwie! Ale cztery!

— Tem bardziej, tem bardziej. Nie, to się stać nie może i nie stanie się! Ciocia zawsze zapomina, że nie ma lat dwudziestu! Żałuję, że nie jestem Władysławą, tylko Władysławem; bo mógłbym zastąpić ciocię w tej pańszczyźnie.

— No tak, zapewne, nie wypada... Choć to tam takie jeszcze dziecko, ale nie wypada. Jeżeli będę bardzo zmęczona i nie będzie mi się chciało wyjść z łóżka...

Byłem pewien, że mię umyślnie uspokaja, a potem, gdy wszystko w domu spać będzie, zabierze mi Zosię i wywiezie cichaczem.

— Nie! — zawołałem. — Ciocia musi mi dać słowo... ciocia musi powiedzieć: „Jak cię kocham, nie wyjadę jutro!“

Wykręcała się, dyplomatyzowała niezręcznie, wkońcu jednak dała słowo i powiedziała: „Jak cię kocham.“

Zdawało mi się, żem wygrał bitwę; żem moją inicyatywą, moją pracą wyrobił sobie coś niezmiernie ważnego, uszczęśliwiającego; że mi coś drogiego przywróconem zostało. Szukałem oczyma Zosi po salonie. Zbliżywszy się do niej, powiedziałem jej, że ją uwolniłem od jazdy tego dnia jeszcze, że jej zapewniłem sen długi po zmęczeniu.

Nie mogła zrozumieć. Gdy jej nareszcie wytłumaczyłem rzecz całą, okazała niezmierne zdziwienie. Jak się pokazało, ciotka Ludwika zaprosiła ją na dni kilka. Cóż się więc stało, że ją chciała zaraz odwozić?

O, ja wiedziałem, co się stało! Plany ciotki były w niebezpieczeństwie z powodu uroczego dziewczęcia, więc trzeba było wywieźć je conajprędzej. Ale nic z tego nie będzie, ciociu! Zosia zostanie i nie pojedzie ani dziś, ani jutro.

Tak się też stało. Dnia następnego ciotka Ludwika dostała jednej z najcięższych swoich migren. Prosiła, by ją zostawiono samą w spokojności, która dla niej była lekarstwem, by nie zważano na to, że się u stołu nie ukaże, by się bawiono bez niej.

Bawiliśmy się, jak kazała, ja przynajmniej bawiłem się wybornie.

Pani ma może wspomnienia takich pogodnych, letnich dni, w których słońce, trawy, kwiaty, natura cała i cała ludzkość zdawały się sprzysiężone na to, by panią uczynić szczęśliwą? Nie? Nie ma pani takich wspomnień? Nie może więc pani mieć pojęcia o tym jakimś stanie rozkosznej tymczasowości; o tem rzuceniu wiosła i puszczeniu się na spokojne, łagodnie kołyszące fale; o tem rozmarzeniu, o tem zapomnieniu jutra i wczoraj, o tem rozpłynięciu się w chwili obecnej...

Wcale nie zdawałem sobie sprawy, że to poczynająca się miłość; ani razu nie pomyślałem, że ta dziewica-dziecię nie mogła zostać moją żoną; wcale nie pamiętałem, że ja byłem człowiekiem zmęczonym i to zmęczenie czującym przedewszystkiem. Nie przykrawałem tych chwil, z Zosią spędzonych, do żadnych teoryi, do żadnych filozofii, do żadnych krytyk, do żadnych wyników dawniejszego doświadczenia... Ot, poprostu, stałem się nagle dwudziesto-letnim młodzieńcem i czułem, jak dwudziestoletni młodzieniec.

Przyszło to sobie najnaturalniej. Obudziłem się takim po owym wieczorze tańcującym. Opadły ze mnie wszelkie sceptycyzmy, wszelkie obawy, wszelka gorycz. Ramiona moje stały się nagle lekkie; byłbym przysiągł, że miałem u nich skrzydła. Przez cały tydzień, w którym ciotka migreny pozbyć się nie mogła, chodziłem z pannami na spacery, woziłem je łódką po stawie, grałem z niemi w rozmaite gry, tańcowałem przy dźwiękach fortepianu, namawiałem na wyprawy do lasu, na dalekie przejażdżki, deklamowałem.

Tak, pani, deklamowałem godzinami całemi na werandzie, oświeconej tylko blaskiem księżyca. Pani nie wie zapewne, że natura dała mi pamięć doskonałą. Odgrzebałem w niej mnóstwo wierszy. Przykryte one były warstwami przeróżnych, złożonych później wrażeń, wypadków... Teraz wypłynęły nagle na wierzch zwycięsko, zdaje mi się, że zupełnie bez udziału mej woli. Podnosząc wzrok ku smugom księżycowych promieni, mówiłem mimowoli natchnionemi słowami naszych poetów...

Pani się uśmiecha? Tak, wiem, byłem śmiesznym mazgajem, ale byłem takim z jakiegoś porywu silniejszego, niż wszelki takt, niż wszelkie przyzwyczajenia, niż wszelka krytyka. Muszę powiedzieć, że panny były mną zachwycone. Jak jagody jednego grona trzymały się one zawsze razem i gdym deklamował, czułem te wszystkie oczy, jasne i ciemne, utkwione w mej twarzy. Zosia mówiła: „Jeszcze, jeszcze!“ — a mnie się wydawało najnaturalniejszą rzeczą, że jej wola była uderzeniem, pod którem fale mej pamięci zakreślały szerokie kręgi, a z głębi owych fal wypływały coraz nowe, sądziłem, że zapomniane zupełnie, poezye.

W ogromnym parku ciotki bawiliśmy się w chowanego. Panny zostawały na werendzie, a ja biegłem uszczęśliwiony, rozbawiony i ukrywałem się w jednym z klombów. Panny rozbiegały się potem, jak rój motyli, zaglądając po za szpalery, ciekawy wzrok posyłając po za rozsuwane drobnemi rączkami gałęzie. Oszukiwałem moje towarzyszki. Manewrowałem tak, by mię zawsze znalazła Zosia. Przed innemi zasłaniały mię pnie grubych drzew, ku czarnym, błyskającym radością oczom, wysuwałem się umyślnie. Raz ją namówiłem, gdy odkryła mię za szpalerem i srebrną kaskadą śmiechu mię przywitała, by stanęła cichutko koło mnie. Czy też nas znajdą? Bo ona jedna szukać umiała, inne miały chyba pozawiązywane oczy. Stanęła koło mnie, kładąc palec na ustach i zgarniając spódniczki, by z po za pnia nie wyglądały. Czułem jej ramię obok mego ramienia i było mi tak dobrze, tak błogo, tak młodzienczo, że pani, jeżeli podobnych wspomnień nie ma w swej pamięci... Ach! prawda, mówiła mi pani, że ich pani nie ma, więc wyobrazić sobie pani nie może... Zosia szeptała:

— Żeby tu była Józia, toby mię zaraz znalazła. Pan wie... my mieszkamy o wiorstę jedna od drugiej i często się tak zdarza, że nie umówiwszy się wcale, wychodzimy z domu o jednej porze i nagle spotykamy się na zakręcie drogi...

(Ciąg dalszy nastąpi).

dykalnym. Ale wtedy wystąpienie *Nowej Pressy* przeciwko wymienionym paragrafom, a zwłaszcza postawiony w Izbie przez posła lewicy wniosek, aby je odesłać do komisyi, był niezawodnie grubym błędem taktycznym, jakim będzie każda, choćby tylko chwilowa kooperacya stronnictwa koalicyjnego z młodoczechami, Pernerstorferem e tutti quanti. Miejmy nadzieję, że przynajmniej skończy się na tem jednem wykolejeniu. Gdyby bowiem powtarzało się to, przeprowadzenie reformy kodeksu karnego stałoby się niemożliwem, a koalicya stronnictw umiarkowanych utraciłaby wszelką racyę bytu, gdyby nie zdołała nawet wywiązać się z tego jednego zadania.

Wczoraj Izba uchwaliła VI rozdział (§§ 134—146) dotyczący „zakłócenia spokoju i innych karygodnych czynów przeciwko publicznemu porządkowi". Najważniejszy z tych paragrafów (§ 135) karze znieważanie konstytucyi, praw publicznych, instytucyi małżeństwa, rodziny lub własności, a więc przystaje do znanego przepisu berlińskich ustaw przeciwko przewrotowi. O religii i monarchii § 135 nie wspomina dlatego, ponieważ ich bronią inne artykuły kodeksu. Że takie przepisy karne dziś są potrzebne, nie ulega wątpliwości; że ich potrzebę uznały parlamenta francuski i włoski, wszyscy wiemy. Wprawdzie p. Pernerstorfer drastycznie zestawia w jednym rzędzie Köllera w Berlinie, Thuna w Pradze, Bacquehema w Wiedniu i Crispiego w Rzymie, ale zapomniał wymienić naczelników internacyonalnej ligi przewrotu, której dążności obostrzenie kodeksu karnego uczyniły koniecznem. Kiedy układano stary austryacki kodeks karny, istniały tylko sporadycznie jednostki, negujące owe główne podwaliny historycznego ładu. Ale obecnie istnieje wielkie stronnictwo, które otwarcie dąży do zniesienia własności, rodziny i małżeństwa. Dziś więc odnośne ustawy ochronne są bardzo potrzebne.

Ostrzegać nas, jak to uczynił wczoraj p. Herold: „Większość i mniejszość zmieniają się, może wkrótce panujące (?) dziś warstwy staną się mniejszością, wtedy przeciwko nim użyty będzie przepis, który dziś uchwalają" — to prosty sofizmat. Ci wszyscy, którzy bronią historycznego ładu społecznego, zobowiązani są użyć ku tej obronie wszelkich prawowitych środków. Gdyby zwyciężyła socyalna demokracya, to z pewnością nie będzie ona przeciwko nam za pomocą § 135 broniła własności, małżeństwa i rodziny! Owszem i wtedy my, zwyciężeni, bronić będziemy tych normalnych podwalin społeczeństwa przeciwko zwycięzcom. Zresztą zaś na te groźby jutrem socyalizmu można odpowiedzieć słowami Fausta:

„Das drüben kann mich wenig kümmern;
Schlägst du erst diese Welt zu Trümmern,
Die andre mag darnach entstehen".

W sprawie ustawy

o ubezpieczeniu prywatnych oficyalistów.

Dziś, gdy parlamenty i rządy tyle robią dla robotników, gdy w Austryi stojące u steru stronnictwa godzą się na to, aby dać im osobną reprezentacyę w parlamencie, pozostaje w naszem społeczeństwie klasa bardzo liczna, stosunkowo o wiele gorzej sytuowana niż robotnicy, o której cicho i głucho, bo zajęta ciężką pracą nie ma czasu ani ochoty na urządzanie demonstracyjnych zgromadzeń lub na wysyłanie rozlicznych petycyi. Klasą tą prywatni oficyaliści, którzy wytrwale, w pocie czoła na chleb pracują. Niestety jednak mimo ciężkiej pracy los ich jest bardzo opłakany. Nie mają zapewnionej emerytury, więc na starość, gdy staną się niezdolni do pracy, czeka ich zwykle kij żebraczy, bo z tej szczupłej płacy, którą pobierają podczas służby, nic zaoszczędzić nie mogą, po śmierci zaś ich rodziny ich również czeka nędza. Przyszłość zatem wcale nie różowa; nic też dziwnego, że niejeden z nich nieraz traci chęć do pracy, która wymagając wiele, nie daje mu żadnego zabezpieczenia na przyszłość.

Aby zapobiedz tym tak smutnym widokom co do przyszłości, utworzyło się przed 28 laty w Galicyi Towarzystwo wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych, które choć w części łagodzi opłakany los tych pracowników, daje im utrzymanie, gdy są niezdolni do pracy, niesie pomoc rodzinom, gdy ich nie stanie. Lecz niestety Towarzystwo takie nie może polepszyć doli wszystkich po pierwsze dlatego, że ograniczone jest tylko na wkładki członków, a powtóre dlatego, że do Towarzystwa takiego zapisują się nie wszyscy, jakby należało, prywatni oficyaliści, bo człowiekowi wrodzona już jest pewna opieszałość i nieraz nie uczyni nic dla rzeczy, która mu nawet przynieść może korzyść jak najwyższą.

Owoż, aby temu zapobiedz i zmusić wszystkich prywatnych oficyalistów, by siebie i swe rodziny ubezpieczali, Wydział Towarzystwa prywatnych urzędników austro-węgierskiej monarchii w Wiedniu (Allgemeiner Beamtenverein), a następnie Zarząd wiedeńskiej grupy urzędników prywatnych tej instytucyi, wniósł dnia 5 maja 1892 r. za pośrednictwem posła barona Sommarugi petycyę do obu Izb Rady państwa o utworzenie **ogólnego obowiązkowego instytutu pensyjnego dla oficyalistów prywatnych.** Petycyę tę komisya petycyjna, której przewodniczy ks. prałat Ruczka, poparła bardzo gorąco — i na jej wniosek Rada państwa uchwaliła petycyę tę przekazać rządowi, oraz zawezwać go, by zajął się tą sprawą i Radzie państwa jak najprędzej przedłożył projekt odpowiedniej ustawy, zaprowadzający żądany przez petentów ogólny obowiązkowy instytut pensyjny.

Petenci nie żądali nic więcej jak tylko, aby państwo stworzyło instytucyę obowiązkowego ubezpieczenia, którą prywatni oficyaliści **utrzymać chcą sami wspólnie ze swoimi pracodawcami** i aby taką instytucyę państwo pod swoją przyjęło opiekę.

Podczas dyskusyi nad tym przedmiotem w Radzie państwa, zabrał głos p. dr. Menger i usilnie zalecił tę sprawę troskliwości rządu, podnosząc, że kwestya ta pod względem społecznym jest wielkiej doniosłości, rozwiązanie zadania łatwem i bez kosztów dla państwa, a skutek zbawienny. — Dalej dowodził mówca, że obowiązkiem państwa, które opieką swą wszystkie otacza stany, jest także otoczyć nią liczną rzeszę prywatnych oficyalistów i położyć koniec rozpaczliwym stosunkom w tej części społeczeństwa, która pod względem wiedzy, pracy i użyteczności, nie pozostaje w tyle po za innymi stanami.

Od dnia powyższej uchwały, która zapadła 23-go marca 1893 roku jednomyślnie, upłynęło do dziś prawie dwa lata, a rząd niestety nie wygotował dotąd jeszcze żadnego przedłożenia.

Już po uchwale Izby posłów rząd kilku deputacyom tak ze strony oficyalistów prywatnych, jak i pracodawców, zajmujących się ich losem, oświadczył, że uznaje ważność tej sprawy i potrzebę zajęcia się nią w odpowiedniej drodze. Mimo jednak tych oświadczeń sprawa nie postąpiła ani kroku naprzód, a delegaci lwowskiego Towarzystwa prywatnych oficyalistów, którzy bawili w maju r. z. w Wiedniu, w sprawie obniżenia podatku ekwiwalentowego, śledząc za przebiegiem kwestyi owego funduszu pensyjnego, przekonali się, że petycye odnoszące się do niej, leżą w ministeryum spraw wewnętrznych, dotąd nietknięte. Widząc taki stan rzeczy, delegaci udali się do ks. prałata Ruczki i prosili go, aby jako przewodniczący komisyi petycyjnej, na której wniosek Izba powzięła rezolucyę w tej sprawie, zainterpelował rząd, jak postąpił z uchwałą izby.

Wynikiem tych starań była wniesiona w maju z. r. interpelacya przez pp. Götza i Mengera, a druga w listopadzie z r. przez p. Adamka.

Konieczność utworzenia pensyjnego instytutu oficyalistów prywatnych uznały również rozmaite zjazdy oficyalistów. Z pomiędzy nich wymienić należy zgromadzenie, przy ogromnej liczbie członków odbyte w Wiener Neustadt, Wiedniu i Bernie, na których posłowie do Rady państwa dr. Götz i Menger w gorących słowach zachęcali oficyalistów do dalszej akcyi celem skłonienia rządu do zajęcia się tą sprawą.

P. dr. Götz twierdził na jednem z tych zebrań, iż rząd dlatego dotąd nie uczynił żadnego kroku w tej sprawie, że jest zdania, iż ustawowe uregulowanie tego instytutu pensyjnego nie może nastąpić pierwej, zanim nie będzie doprowadzone do skutku uregulowanie zaopatrzenia robotników na starość i na wypadek nieudolności do pracy.

Takie zapatrywanie jest niesłuszne. Stosunki między prywatnymi oficyalistami a robotnikami są zupełnie odrębne. Przy uregulowaniu zaopatrzenia robotników będzie państwo stanowczo musiało dać znaczne zasiłki ze swych funduszów. U prywatnych oficyalistów rzecz ma się zupełnie inaczej. Oni nie żądają od państwa żadnego materyalnego poparcia, chcą tylko, aby wszyscy prywatni oficyaliści byli zmuszeni ubezpieczać się, a powtóre pragną, aby do zabezpieczenia swych sług przyczyniali się drobną kwotą również ich służbodawcy, dla których dobra oficyalista pracuje i pracą swą pożytek im przynosi, majątek ich pomnaża. Kwota ta ma być nadzwyczaj skromna, a powiększyłaby znacznie fundusze towarzystw wzajemnej pomocy oficyalistów W wielu krajach monarchii służbodawcy już sami dobrowolnie zobowiązali się uiszczać pewną wkładkę za ubezpieczenie swych oficyalistów. Na tem zyskuje tylko chlebodawca, bo oficyalista widząc, że pryncypał dba o los jego, że chętnie przyczynia się swym groszem do zabezpieczenia jego przyszłości, gorliwie pracuje i wszystkich sił dokłada, aby pracodawcy swemu dostarczyć jak największych dochodów.

Praca dodatnia oficyalistów prywatnych zatrudnionych przeważnie na roli i w lesie ma wielkie znaczenie dla kraju, gdyż im lepiej i racyonalniej prowadzonem jest gospodarstwo, tem więcej wzmaga się dobrobyt w kraju. U nas w Galicyi służbodawcy nie przyczyniają się datkami do powiększenia funduszów Towarzystwa oficyalistów; zaledwie kilkunastu płaci małe kwoty na zabezpieczenie przyszłości swemu oficyaliście. Zaprowadzenie zaś instytutu pensyjnego obowiązkowo pociągnęłoby chlebodawców do płacenia małych wkładek, a zabezpieczając byt oficyalistów, wpłynęłoby na to, że inteligentni ludzie chętniej oddawaliby się temu zawodowi, służbodawcy więc łatwiej mogliby znaleźć oficyalistów uczciwych, doświadczonych i rozumnych i nie byliby zmuszeni często ekonomami robić swych kucharzy lub woźniców, którzy gospodarząc nieumiejętnie zaprzepaszczają dochód z roli, dziś i przy najlepiej prowadzonej gospodarce wcale nie świetny. Zła gospodarka uboży zaś kraj cały.

Oficyaliści prywatni upominając się u rządu o utworzenie pensyjnego instytutu nie unoszą się jakiemiś egoistycznemi zachciankami, lecz dążą do jednego z najlepszych i najpiękniejszych celów, starając się o zabezpieczenie bytu swych rodzin. Życzenia ich są umiarkowane i rozumne i powinny być spełnione.

Poseł dr. Menger przemawiając w tej sprawie na zgromadzeniach urzędników prywatnych w Wiedniu zachęcał ich do wytrwałości i zapewniał, że jeśli ciągle będą prosili rząd o spełnienie ich życzeń i ciągle mu będą tę ważną sprawę przypominali, to cel ich osiągnięty być musi. Również oświadczył dr. Menger, iż wszyscy posłowie Rady państwa bez względu na stronnictwa, do których należą, są dla tej myśli jak najprzychylniej usposobieni i zawsze ją jak najgoręcej popierać będą.

Idąc za radą dra Mengera prawie wszystkie stowarzyszenia prywatnych oficyalistów wniosły petycye do Rządu i Rady państwa a nadto udały się do lwowskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy prywatnych ofiyalistów, jako najstarszego w Monarchii austryackiej, z prośbą, aby ono prosiło Koło polskie o wniesienie stosownej interpelacyi, bo gdy zewsząd pojawia się przynaglenie, rząd będzie się czuł zniewolonym do zarządzenia przynajmniej przedwstępnych kroków.

Towarzystwo lwowskie gorąco się zajęło tą sprawą, a dyrekcya, której zasługi tylekrotnie wykazywaliśmy, przygotowała dla Rady nadzorczej i ogólnego zebrania delegatów odpowiednie sprawozdanie na podstawie którego Wydział centralny przedstawi zebraniu delegatów wniosek o wysłanie do Rządu i Rady państwa petycyi i o wystosowanie do Koła polskiego prośby o zajęcie się sprawą oficyalistów.

Rozważając atoli żądania wyrażone w petycyach wniesionych przez pokrewne Towarzystwa niemieckie i czeskie, przyszedł Wydział centralny lwowskiego Towarzystwa prywatnych oficyalistów do przekonania, że zupełnie z temi żądaniami zgodzić się nie można. Wszystkie bowiem dotychczasowe wnioski i uchwały odnoszą się do utworzenia w drodze ustawodawstwa państwowego instytutu zabezpieczającego nieudolność do pracy oficyalistów z szczególnym naciskiem, aby istniał przymus ubezpieczania się. Z dotychczasowego przebiegu sprawy wypływa jednak, że miałby być utworzony jeden ogólny instytut dla wszystkich krajów koronnych. Lwowski Wydział centralny atoli jest zdania, że ze względu na zupełnie różne stosunki w poszczególnych krajach Monarchii byłoby wskazanem, aby Rada państwa uchwaliła tylko ogólną ustawę o przymusie zabezpieczania się, a wykonanie i wprowadzenie w życie tej ustawy przekazała ustawodawstwu krajowemu. Zdanie to jest słusznem i z tego względu, że w niektórych krajach istnieją już stowarzyszenia oficyalistów prywatnych o celach zapomogowych z pewnymi zasobami. Instytucyi takich skazywać na wymarcie nie należałoby, natomiast ich zreformowanie stosownie do wymagań nowej, projektowanej ustawy, byłoby zbawiennem.

Owóż uwzględniając powyższe dane, Wydział centralny przedstawi zebraniu delegatów wniosek, aby oni wysyłając petycyę o zaprowadzenie przymusu co do zabezpieczania się oficyalistów, równocześnie zaznaczyli, iż zdaniem ich najłatwiejszym i najpewniejszym sposobem osiągnięcia celów byłoby skłonić sfery decydujące do wydania tylko ogólnej ustawy o przymusowem ubezpieczaniu się, zaś wykonanie tej ustawy przekazać sejmom krajowym. Daleko bowiem lepiej i świetniej staną wszystkie instytuta pensyjne, jeśli je kraj opieką otoczy i odpowiednio do istniejących warunków będzie się starał o ich rozwój.

Mamy nadzieję, że delegaci lwowskiego Towarzystwa w dobrze zrozumianym, własnym interesie, gorąco zajmą się tą sprawą i na zebraniu uchwalą wnioski przedstawione przez centralny Wydział.

List do Redakcyi.

Od p. Aleks. Wybranowskiego z Czupernosów pod Przemyślanami, otrzymujemy następujące spostrzeżenia w sprawie emigracyi ludu do Brazylii:

„Ruchu emigracyjnego, rozwijającego się na szerokie rozmiary w powiatach lwowskim, przemyślańskim, bobreckim, kamioneckim i innych, nie można uważać jako objawu chwilowego szału ludności, obałamuconej przez bezsumiennych agentów, a pogrążonej w nędzy po ostatnich kilku nieurodzajnych latach. Ruch ten wzmaga się, o ile uważałem nieustannie, a w obec zbliżającego się przednowku, będzie bezwątpienia z każdym dniem większe przybierać rozmiary. Kancelarya tabularna w tutejszym sądzie jest w formalnym oblężeniu, ludność sprzedaje grunta za byle co, żeby tylko otrzymać fundusze na podróż do Brazylii, a są wypadki, iż ludzie zadawalniają się samym tylko zadatkiem, nie troszcząc się na razie o zapłatę reszty. Mamy tu do czynienia z formalnym obłędem. Jakiś niepokój zaczyna coraz szersze warstwy ludności ogarniać, a na ustach każdego jedno tylko: Brazylia. Całemi dniami przesiadują przyszli emigranci po karczmach, dysputując o tym obiecanym, a mlekiem i miodem płynącym kraju.

Z jednej strony ma się do czynienia z ludnością zdemoralizowaną w skutek braku wszelkiego rygoru po wsiach, mającą wstręt do ciężkiej pracy, a obałamuconą nadziejami przyjścia bez trudów do dobrobytu i dostatków — tym chętnie dalibyśmy na drogę, byleby się wynieśli za morze. Z drugiej atoli strony mamy do czynienia z ludźmi, którzy lubo chcieliby pracować, to jednakowoż przy obecnym braku zarobku i niemożności dania go ze strony obszarów dworskich, będących również przyciśniętemi w tych czasach, są istotnie w położeniu bez wyjścia. Tą częścią ludności są zagrodnicy i chałupnicy, siedzący na skrawku ziemi, obejmującym zaledwie morg lub dwa morgi, obciążonym w dodatku zaległością podatkową. Ludzie ci posiadają — jak wspomniałem — najwyżej dwa morgi ziemi, a nie mając własnego ciągła, muszą bogatszemu gospodarzowi odrabiać za pług, bronę, furę w pole i do lasu, za które to usługi bogatszy zwykle drogo opłacać każe biedniejszemu.

W tych warunkach zagrodnik taki nie jest w stanie dobrze obrobić i znawozić swojego pola, skutkiem czego też nie może spodziewać się wyższego plonu, jak 2 do 3 korcy z morga. Jakże więc ma wyżywić tem rodzinę, zwłaszcza, jeśli kartofle w dodatku nie dopiszą. Z takiej zagrody opłaca zwykle 6 do 12 zł. podatku wraz z dodatkami, odrabia szarwarki, przyczynia się do kosztów pobudowania i utrzymania cerkwi, względnie kościołów, budynków parafialnych, szkół i potrzeb szkolnych, musi posyłać dzieci do szkoły, sprawia im odzież, obuwie i książki. Czyż położenie takiego biedaka nie jest rozpaczliwem? Czyż można się dziwić, że ci zagrodnicy i chałupnicy dostarczają największego kontyngentu szeregom emigracyjnym?

Zagrodników tych jest w każdej wsi bardzo znaczna liczba, a wytworzyli się oni w skutek ustawy dozwalającej na parcelacyę gruntów włościańskich i na dzielenie spadku po rodzicach. Za czasów przedkonstytucyjnych nie wolno było chłopu sprzedać części gruntu bez zezwolenia dominium, a później władzy politycznej. Grunta włościańskie tworzyły niejako małe majoraty, najstarszy syn dziedziczył grunt cały po rodzicach, a odpowiednio do ceny szacunkowej, zwykle bardzo niskiej, wydzielał reszcie rodzeństwa spadkobiercom w gotówce lub bydle, ile na nich przypadało. Obecnie, gdy ojciec umiera, obejmuje najstarszy syn prowizoryczny zarząd gruntu, sprawia ojcu kosztowny pogrzeb, potem następuje sporo kosztująca pertraktacya spadkowa, a urząd podatkowy wymierza ze swojej strony i ściąga taksę przenośną, zwykle bardzo wysoką, nie stojącą w żadnym stosunku do dochodu z gruntu.

Na te wszystkie wydatki zadłużają się spadkobiercy po same uszy, pożyczają w towarzystwach zaliczkowych, w bankach a w końcu u lichwiarzy, z których szpon już nigdy w życiu wydobyć się nie zdołają. Po załatwieniu tych spraw, wydaje sąd dekret dziedzictwa w równych częściach dla wszystkich członków pozostałych po zmarłym. Jeśli brat najstarszy jest zgodliwego usposobienia, wydzieli każdemu z rodzeństwa po jednej lub po dwie parcele gruntu, na których nowi właściciele stawiają chałupy i stają się zagrodnikami — jeżeli zaś zgodzić się nie mogą, następują procesa, adwokaci i notaryusz wbogacają się, a procesujący kończą procesy nie mając grosza w kieszeni, zwykle zrujnowani ze szczętem. W każdej wsi jest obecnie znaczna liczba zagrodników, chałupników i innego proletaryatu i z tem się teraz liczyć potrzeba. Są to egzystencye zdesperowane, które nie mają nic do stracenia, a których cze a przednowek i śmierć głodowa, jeżeli nie przyjdzie się im z pomocą i nie dostarczy zarobku przy publicznych robotach.

Wiem o tem dobrze, że uzyskanie jakichkolwiek funduszów ze skarbu państwa celem przyjścia w pomoc tej części ludności, będzie połączone z wielkiemi trudnościami, a jeżeli pomoc przyjdzie, to nie tak rychło, a tu z naciskiem to powiedzić muszę — potrzeba doraźnej akcyi.

Zdaniem mojem przeto jest, że jeżeli ludności biednej, chcącej emigrować, pomocy udzielić nie możemy — to nieludzkością jest stawiać jej przeszkody w emigrowaniu. Przeciwnie należy jej emigracyę raczej ułatwić, skonstatowawszy, że ten i ów w kraju z rodziną swoją w danych warunkach utrzymać się nie może. Tacy powinni emigrować za paszportem, będą wtenczas mieli zawsze jakiś łącznik z krajem i nie będą, pozostając w kraju, pomnażali elementów rozkładowych, mogących w danych wypadkach wywołać jakieś poważniejsze zajście. Przy najściślejszem obostrzeniu z drugiej strony kontroli paszportowej po stacyach kolejowych dla innych emigrantów, cała ta sprawa mogłaby wziąć normalny obrót.

Radykalne dzienniki, korzystając z dzisiejszego położenia, zaczynają podnosić głosy alarmu, sądzę więc, że pokierowanie ruchem emigracyjnym w rozumny sposób i nadanie mu należytego kierunku będzie aktem ludzkości i politycznego rozumu."

Z izby sądowej.

Proces studentów tarnopolskich.

Tarnopol 6 marca.

Drugi i trzeci dzień rozprawy)

Wczoraj po południu przesłuchano ostatnich 13 oskarżonych, którym prokuratorya państwa zarzuca, że byli członkami tajnego stowarzyszenia „Organizacya" i w zebraniach tego stowarzyszenia uczestniczyli. Wszyscy wypierają się winy. Obwiniony Moskwa zbijał zeznania klasycznych świadków Rembisza i Urbana. Oskarżony Sawicki, któremu przewodniczący cytuje artykuły *Dziennika polskiego Gazety narodowej* i *Hałyczanina*, karcące ostro jego i Borzemskiego przemówienie na zjeździe Poznańczyków we Lwowie, odpowiada, że te gazety nie stanowią jeszcze opinii publicznej i powołuje się na konserwatywny *Przegląd*, który w tych przemówieniach nie znalazł nic nagany godnego.

Drugi dzień rozprawy zakończono przesłuchaniem świadków: p. profesorowej Maryi Łomnickiej i Damiana Eminowicza, którzy brali udział w owym komersie, urządzonym na cześć gości z Poznańskiego, podczas wystawy lwowskiej a którzy mieli słyszeć przemówienia oskarżonych Borzemskiego i Sawickiego o treści antydynastycznej i rewolucyjnej. Wedle aktu oskarżenia miał Borzemski wówczas przyrzec p. Łomnickiej pod słowem honoru, że nie będzie wygłaszał na zebraniu żadnych mów lub toastów, nie dotrzymawszy jednak słowa, wspomniał naprzód, że nie łączy się z takimi obywatelami jak p. Getritz, którzy bez potrzeby wnoszą toast na cześć Cesarza, poczem dodał, że wszystkich panujących któregobądź zaboru uważa za wrogów i okrzykiem „Pereat Getritz" wezwał do zerwania z dotychczasową polityką płaszczenia.

Przesłuchany w tym kierunku świadek p. Łomnicka twierdzi, że nieprawdą jest jakoby żądała od Borzemskiego słowa, by nie wygłaszał mów, prosiła go tylko, by nie było mów treści antyreligijnej lub socyalistycznej. P. Łomnicka zeznaje, że o ile sobie przypomina, nie było na owem zebraniu żadnych mów treści gorszącej, lub nagany godnej i oświadcza, że wszyscy na tym komersie obecni, odebrali jak najprzyjemniejsze wrażenie. Świadek Eminowicz nic sobie nie przypomina.

Przedpołudniową rozprawę trzeciego dnia procesu zapełniły przesłuchania wszystkich świadków, wezwanych na stwierdzenie okoliczności, że oskarżeni Borzemski i Sawicki dopuścili się na komersie, urządzonym na cześć Poznańczyków, zbrodni zaburzenia spokoju publicznego. Jako pierwszy zeznawał świadek Józef Opałek, kierownik szkoły ludowej we Lwowie. O ile sobie przypomina, było mów wiele, dokładnie jednak treści nie pamięta. Były mowy gorące, ale i mówcy byli cokolwiek podochoceni trunkami. Pamięta tylko, że Sawicki głośno mówił i gwałtowniej nieco jak inni. Co do faktów tyczących się Borzemskiego, nic sobie nie przypomina. Na przedstawienie przewodniczącego, że w śledztwie inaczej zeznawał, odpowiada świadek: „Byłem tylko zawezwany jako znawca pisma a później dopiero w rozmowie potocznej zapytał mię sędzia śledczy o zajściach podczas komersu, nie zwracając mej uwagi na to, że jestem jako świadek pytany". Obrońca Soroń domaga się zanotowania tej okoliczności w protokole.

Obrońca Lilien (do świadka): Jak panu wiadomo, krytyka rządu jest dozwolona w każdem państwie konstytucyjnem, rozumie się do pewnych granic; gdy ktoś granice te przekroczy, staje się karygodnym. Jakie odniosłeś pan wrażenie? Czy mowy oskarżonych zawierały coś karygodnego, czy nie?

Świadek: Nie odniosłem wrażenia, jakoby w mowach było coś karygodnego. Borzemski i Sawicki przemawiali tak, jak każdemu Polakowi mówić wolno w państwie konstytucyjnem.

Przysięgły dr. Gromnicki: Czy czytał pan artykuły dzienników, odnoszące się do tego faktu?

Świadek: Czytałem i odniosłem to wrażenie, że nie były na miejscu.

Osk. Borzemski: Czy mowy nasze przyjęła młodzież poznańska z oburzeniem i czy płakała, jak o tem nota policyi donosi?

Świadek: Nie! Była owszem szczęśliwą, że znalazła takich patryotów.

Przewodniczący odczytuje zeznania świadka w śledztwie, w których wyraźnie oświadczył, że mowy Borzemskiego i Sawickiego były oburzające i skierowane przeciw rządowi.

Przewodniczący: Cóż pan wobec tego powie?

Świadek: To są zdania sędziego śledczego, który mówił, że tak się rzecz miała, a ja wszędzie dodawałem: „Nie pamiętam."

Następnie przystąpiono do przesłuchania świadka, p. Stefanii Wechslerowej, nauczycielki, która zeznaje, że w mowach Sawickiego nie było nic nielojalnego; zaś mów Borzemskiego nie słyszała..

Przy przesłuchaniu świadka Maryana Łomnickiego, nauczyciela, obrońca zrzeka się zaprzysiężenia, na co się zgodził prokurator. Mimo to przewodniczący odbiera przysięgę od świadka. Z przemówień Sawickiego pamięta świadek tylko tyle, że porównywał stosunki poznańskie z naszymi, na resztę treści nie zwracał uwagi, znając Sawickiego, jako człowieka wysoce nerwowego. O dalszych zajściach nie wie.

Następnie odczytuje przewodniczący zeznania świadka Kazimierza Zielonki, współpracownika *Gazety lwowskiej*, który zeznał, że mówców nie znał, ale że jakiś brunet powiedział, iż stosunki w Galicyi nie są lepsze jak w Poznańskiem, że wszyscy monarchowie są z jednej gliny i że u nas tak samo jak w Rosyi.

Oskarżony Sawicki: Nie jestem przecież brunetem! (Śmiech w sali.)

Resztę przedpołudniowej rozprawy zajęło odczytanie rozmaitych aktów, czasopism znalezionych u oskarżonych, odezw policyjnych itd.

KRONIKA.

Lwów 7 marca.

Obywatelstwo honorowe. Deputacya miasta Dobromila składająca się z burmistrza dr. Cwiklicera, proboszcza ks. Knurkiewicza i dwu mieszczan wręczyła wczoraj na audyencyi JE. p. Namiestnikowi hr. Badeniemu dyplom obywatelstwa honorowego, artystyczną pracę malarza p. Jana Bogdańskiego z Dobromila. Kartę tytułową poważnego stylu zdobi widok salin dobromilskich i ratusza miasta z piękną panoramą górską, w której widnieje w dali klasztor OO. Bazylianów i ruiny zamku Herburtów.

Koncert. Panna Marya Kozłowska, uczenica znakomitej szkoły pp. Paschalis-Souvestre, szczęśliwym swoim debiutem w „Traviacie" zyskała taką sympatyę publiczności, że współudział jej we wczorajszym koncercie w sali klubu pocztowego od razu uczynił ten koncert popularnym. Młoda śpiewaczka wykonała aryę z „Lucyi z Lammermoru" i piosnkę Niewiadomskiego „Śmieją się złote łany". Głos brzmiał w sali koncertowej śmielej, dzięki czemu wszystkie jego zalety, a przedewszystkiem bardzo piękna i poprawna już dziś koloratura wystąpiły w całej pełni. Z tych danych, jakie już dziś mamy przed sobą, sądzimy, że p. Kozłowska za kilka lat pomnoży grono naszych pierwszorzędnych primadon.

Cesarzowa Elżbieta, jak donoszą paryskie dzienniki, zamierza nabyć na Korsyce posiadłość z pałacem w pobliżu Ajaccio i tam się osiedlić na następną zimę.

Antysemicki poseł Schneider — jak donosi *Nowa Presse* — bawił w ubiegłym tygodniu przez kilka dni w Krakowie. Celem tej podróży było „zebranie materyału obciążającego ministra Madeyskiego", aby módz wystąpić przeciw niemu z oskarżeniem w Radzie państwa.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Bohorodczanach rozpisała z terminem do 10 kwietnia konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. — Magistrat m. Kołomyi ogłasza konkurs na posadę budowniczego miejskiego z roczną płacą 1200 złr. i 20 prc. dodatkiem aktywalnym.

Z Warszawy donoszą niemieckie dzienniki, że tam w niedzielę w nocy odbyto rewizyę u wielu osób prywatnych i u studentów, poczem nastąpiły liczne aresztowania.

Z Abbazyi telegrafują, że od trzech dni sypie tam śnieg prawie bez przerwy, tak, że cała Abbazya jest kompletnie pokryta śniegiem, a dyrekcya nie jest w stanie oczyścić dróg, po których publiczność odbywa spacery, gdyż śnieżyca ani na chwilę nie ustaje.

Cygara Cuba po 6 ct nie będą więcej wyrabiane. Po wyczerpaniu istniejących zapasów cygara te w handlu więcej się nie pojawią.

Morderstwa. W Gliniku dolnym w p. jasielskim mieszkało małżeństwo Operowscy. Żyli z sobą zgodnie, pracowali na roli, ale nie szczęściło się im, bo mimo pilnej i skrzętnej pracy, popadli w dość opłakane stosunki finansowe. Operowski więc dla szukania gdzieindziej szczęścia, postanowił wyemigrować do Ameryki. Po czułem pożegnaniu z żoną i dziećmi, udał się do Hamburga i za Ocean, gdzie też w ciągu lat dwóch zebrał niewielki kapitalik i szczęśliwy, w połowie czerwca r. z. powrócił do kraju. Podczas nieobecności męża Operowska zawiązała stosunek miłosny z młodym parobczakiem Stanisławem Raykowiczem i gdy mąż wrócił zastał żonę obiecującą mu prędkie macierzyństwo. Skutkiem tego naturalnie robił żonie wyrzuty; z miłości jednak dla pozostawionych dzieci przebaczył jej i postanowił puścić przeszłość w niepamięć. W kilka tygodni po urodzeniu synka, znaleziono Operowskiego zamordowanego w łóżku, ze straszliwemi ranami zadanemi nożem i z czaszką rozłupaną siekierą. Mimo, iż żona napełniała wieś jękami rozpaczy, żandarmerya, znając jej złe prowadzenie się, uwięziła ją i dopiero w więzieniu śledczem przyznała się do mordu, twierdząc jednak, że kochanek jej nie brał w zbrodniczym tym czynie żadnego udziału. Późniejsze jednak śledztwo wykryło, iż oboje napadli śpiącego Operowskiego i gdy Raykowicz nie mógł go zabić siekierą, żona poderżnęła mu nożem krtań i zadała kilka pchnięć nożem w piersi. Sąd skazał Operowską na karę śmierci, a jej spólnika, który nie ma jeszcze lat 20 na 18 lat ciężkich robót. Wniesione zażalenie nieważności do sądu kasacyjnego, było onegdaj 4 bm. przedmiotem rozpatrywania i zostało, jak z Wiednia donoszą, odrzucone jako nieuzasadnione.

Przed sądem przysięgłych w Sanoku odbyła się w zeszłym miesiącu rozprawa karna przeciw włościaninowi Antoniemu Pałaszowi, oskarżonemu o zamordowanie własnej żony. Pałasz żył z żoną lat ośm. Pożycie ich ledwie przez rok było znośne, od siedmiu zaś lat jak najgorsze. Nieustanne kłótnie doprowadziły właśnie do tego, że obwiniony postanowił pozbyć się żony z domu, aby — jak mówił — nie karmić jej potomstwa i zaprosił nawet do siebie na poradę wójta i kilku innych, aby ci ich w jaki sposób rozdzielili. Głęboka nienawiść do żony, którą, jak sam obwiniony powiada, od dawna tłumił w sobie, wybuchła nareszcie dnia 5 stycznia r. b. W dniu tym włóczył się Antoni Pałasz od świtu po wsi bez żadnego celu, a następnie około godziny 9tej rano wrócił do domu. Gdy wszedł do izby, żona krzątała się około gospodarstwa, a chociaż nic przykrego mu nie powiedziała, Pałasz zaraz na wstępie pięścią ją uderzył.

Pałaszowa, przerażona tym napadem, usiłowała umknąć, ale mąż udaremnił jej ucieczkę i ze sieni wciągnął ją napowrót do izby. Pochwyciwszy żarnówkę ze żaren, bił nią żonę po głowie, a gdy ta składała przed nim ręce, prosząc o litość, gryzł jej palce, następnie okuty koniec żarnówki wepchnął jej do ust, palcami dusił za gardło, deptał po niej nogami tak silnie, że załamała się klatka piersiowa, a wreszcie dobywszy siekierę z pod skrzyni, obuchem jej uderzył po głowie, poczem z chaty uciekł. Ścigany przez żandarma, został morderca na dworcu w Zagórzu ujęty i do sądu sprowadzony.

Podczas rozprawy robiło przygnębiające wrażenie na licznie zgromadzonem audytoryum zeznanie siedmioletniej córeczki obwinionego, która była świadkiem, jak ojciec mordował matkę; w chwili, gdy ojciec z ławy oskarżonych do dziecka przystąpił, odwróciło się ono z przeraźliwym krzykiem i widoku własnego ojca znieść nie mogło. Dopiero przez wyprowadzenie dziecka ze sali, położono koniec tej głęboko wzruszającej scenie. Wnioskowi obrońcy, który żądał, ażeby obwinionego oddać pod obserwacyę lekarską, celem zbadania jego stanu umysłowego, trybunał odmówił. Ława przysięgłych potwierdziła jednogłośnie zadane sobie pytania w kierunku zbrodni morderstwa i trybunał zasądził Antoniego Pałasza na karę śmierci. Ogłoszenie wyroku nie sprawiło na zasądzonym żadnego wrażenia.

Śniegi kolorowe. Burze śnieżne podczas tegorocznej zimy wszystkim dały się we znaki, a szalały one i szaleją nietylko na północy, ale nawiedziły nawet kraje południowe: Włochy, południową Francyę, Hiszpanię i północną Afrykę. Przypatrując się tej śnieżnej powłoce, która grubym całunem okrywa ziemię, możemy zauważyć, że nie wszędzie jest ona nieposzlakowanej białości. W miastach wielkich zaspy śnieżne po kilku godzinach

przybierają barwę szarą lub czarną; barwią je na ten kolor pyłki kurzu i węgla. Obserwowano także śniegi czerwone błękitne, rdzawe i zielone. Śnieg czerwony bywa zjawiskiem dość częstem. Obserwowano go w wielu miejscach, a wspominają już o nim Arystoteles i Pliniusz. Śnieg nie pada jednak czerwony. Nabiera tej barwy dopiero po spadnięciu, a według ostatnich badań kolor ten nadaje mu mikrob, jeden z tych tworów ani zwierzęcych, ani roślinnych, których rodzinę scharakteryzował Pasteur. Są to bardzo małe kulki, mające kilka tysiącznych milimetra, widzialne tylko za pomocą mikroskopa. Żyją one i rozmnażają się, jeżeli w śniegu znajdą sprzyjające po temu warunki, to jest gdy śnieg zawiera substancye żywnościowe, konieczne do ich życia.

Dzięki mikrobom podobnie jak śnieg, i woda może się stać czerwoną. Zanotowana w kronikach irlandzkich legenda opowiada, iż pewnego razu woda zamieniła się w krew. Z początku mniemano, iż fenomen ten wywołało odbicie zorzy północnej, lecz stało się to za przyczyną mikroorganizmów. Istotnie niedawno temu woda w Port-Jackson zaczerwieniła się nagle i uczony angielski Whitelegge, badając ją, znalazł miriady drobnych żyjątek, *gl-nodin um.*

Analogicznem zjawiskiem jest tak zwany chleb „krwawy“, obserwowany w Ameryce północnej przed strasznymi upałami, jakie tam panowały w roku zeszłym. Na świeżo pokrajanym chlebie, gotowanych kartoflach i ryżu ukazywały się w obfitości plamy czerwone. Zjawisko to, bardzo rzadkie zresztą, gdy po raz pierwszy zostało zauważone w Ameryce, sprawiło głębokie wrażenie na miejscowej ludności. Mikrob, który wypłatał tego figla, zwie się „micrococcus prodigiosus“.

Wracając do śniegu czerwonego, należy dodać, iż może być zabarwionym i z innych przyczyn, nietylko przez mikroby. De Candelle poucza nas, że żyjątko zwane „ascillatoria rubescens“ zabarwia na czerwony kolor jezioro Morot. Inni uczeni zjawisko to przypisują obecności „conferra purpurea pellinosa“, zaś legenda ludowa krwi Burgundczyków, zabitych w głośnej bitwie pod Morot dnia 22 czerwca 1476. Owady również są w stanie zabarwić śnieg na kolor czerwony.

Śnieg zielony bywa rzadszy i widzieć się daje najczęściej w okolicach polarnych. W czasie ekspedycyi w r. 1838 do Szpicberga, dr. Ch. Martin widział śnieg zielony Zabarwienie to pochodziło od specyalnego mikroba, zwanego *protococcus viridis.* Podobny jest on do mikroba ze śniegu czerwonego i różni się tylko kolorem.

Mikroby również barwią śnieg na kolor błękitny i rdzawy.

Śniegi kolorowe były źródłem najrozmaitszych legend, które usiłowały wytłumaczyć tę zmianę barwy śnieżnej powłoki, dziś atoli mikroskop wyjaśnił, iż nie grają tu roli żadne nadprzyrodzone przyczyny, lecz drobne ustroje organiczne, które znajdują się wszędzie.

Zmarli. W Śniatynie umarła przełożona tamtejszego Domu SS. Felicyanek Matka Stefania Starowiejska, córca St. Starowieyskiego, członka Izby panów i Zofi z hr. Jabłonowskich w 37 roku życia. Mieczysław Ornatowski, wachmistrz jazdy sandomierskiej z r. 1831, ozdobiony dwoma medalami, zmarł w Bruchnalu pod Jaworowem w 86 r. życia.

Stan powietrza. T. o 8 rano —3° R. w poł. + 1° R. Bar. 760. Spada. Pochmurnie.

Z aforyzmów.

Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgromadzenie, by poznać ludzi, zważam pierwsze ich spojrzenie: rozsądni najprzód spojrzą na mą nogę prawą, głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

Teatr. Dziś we czwartek „Madame Sans-Gêne“, komedya w 4 aktach W. Sardou. W piątek „Barkarola“, obrazek dramatyczny w 1 akcie Maryana Gawalewicza i „Ciepła wdówka“, komedya w 3 aktach M. Bałuckiego. W sobotę „Carmen“ opera w 4 aktach Bizeta.

Literatura i Sztuka.

* **The woman who did.** Londyński wydawca i księgarz John Lane, ogłasza najnowszą powieść dziennikarza Grant Allena. W londyńskim świecie, zajmującym się ogólnie i żywo kwestyą bezwzględnej równości i swobody dla mężczyzn i kobiet, oryginalny tytuł powieści „The woman who did“ obiecuje ogromnie dużo. Autor zapowiada nadto, że nie mógłby ogłosić swojego dzieła, gdyby długie lata pracy nie dały mu nakoniec niezależnego bytu. Urodzony w Kanadzie, wykształcony w Oxfordzie i liczący 47 lat wieku Allen nienawidzi kraju i społeczeństwa, w których się wychował i które mu dały byt niezależny; przekonany jest, że „nie ma kraju brutalniejszego nad Anglię, społeczeństwa gorzej zorganizowanego, głupszego i obłudniejszego“; domyśla się, że książka jego będzie potępioną... i nie myli się. Bo też ta książka potępia się sama, i gdyby autor zamierzał był dowieść niedorzeczności pewnego prądu, nie mógłby stworzyć odpowiedniejszego typu bohaterki i tego prądu apostołki, jak stworzył na jego obronę. „Kobietą, która...“ jest Herminia Barton, już od szesnastego roku życia przekonana, że ma wielkie na tym świecie (zwłaszcza w Anglii) posłannictwo. Jej zdaniem stanowisko dziewczyny, potem matki, jest dziś w najwyższym stopniu poniżające, jest niewyczerpanem źródłem wszelkiej nędzy moralnej, a jest niem dlatego, ponieważ odmawia się kobietom tej samej niezależności, jaką posiadają mężczyźni.

Herminia, kochana przez Merricka i w nim zakochana, pracuje zawzięcie nad nawróceniem go do swoich teoryj. Kiedy on się jej oświadcza i, przyjęty, chce przyspieszyć związek małżeński, ona z ognistym fanatyzmem rozwija mu wszystkie zasady kobiety, mającej odwagę zostać w Anglii pierwszą... towarzyszką kochanka. Odrzuca z oburzeniem myśl o związku dozgonnym, bo... „żadne z nas ręczyć nie może za dozgonność swoich uczuć“, bo... „jeżeli spowszedniejemy dla siebie i znudzimy się sobą, a spotkamy nową przyjaźń, to każde z nas powinno mieć całkowitą swobodę“. Merrick zgadza się w końcu. Ale już nazajutrz przekonywa się z osłupieniem, że ta 20-letnia fanatyczka nie myśli dzielić ani jego mieszkania, ani majątku — tak, jak nie dzieli jego czasu i nie chce przyjąć jego nazwiska. Szczególnie też dba Herminia o to, by miłość nie spowszedniała. Widuje przyjaciela często po za swoim i po za jego domem — gdzieindziej rzadko. Merrick umiera; wkrótce potem miss Barton zostaje matką córeczki. Kocha ją nad życie, lecz nie... nad swoje teorye, w miarę lat stara się ją kształcić na swoją modłę. Nie udaje się to jej wcale, bo Dolly jest doskonale zdrową i rozumną dziewczyną. Są ustępy w tej powieści niezmiernie dramatyczne — ilekroć matka doznaje rozczarowań. Kulminacyjnym punktem jest chwila, kiedy Dolly dowiaduje się od matki całej tajemnicy — a dowiaduje się wtedy, gdy ma zostać narzeczoną szlachetnego młodziana. Potężnie wzruszająca scena kończy się tem, że córka odmawia matce pocałunku: „Jak śmiesz zbliżać się do czystej kobiety!“ Herminia usuwa się z drogi dziecku — samobójstwem.

Rozmaitości.

— **U Juliusza Vernego.** O jednym z najpopularniejszych, zwłaszcza wśród młodzieży autorze, twórcy „Podróży naokoło ziemi“, „20.000 mil pod morzem“, „Tajemniczej wyspy“, „Podróży do księżyca“ i t. d. dziwnym zbiegiem okoliczności mało dotąd wiemy. U nas n. p. zainteresowanie się jego osobą objawia się w ten sposób, że od czasu do czasu pojawia się pogłoska, iż jest Polakiem z pochodzenia, nazywa się Olszewski czy Olchowski, potem te gawędy idą do kosza i koniec na tem.

Tem ciekawszą się wydaje treść rozmowy, na jaką wyciągnęła Vernego jedna z literatek, wypytując go o rozmaite szczegóły jego życia i pracy. „Moja pierwsza praca literacka?“ — odparł zagadnięty autor „Ach przypominam sobie. Była to niewielka komedya, którą napisałem do spółki z Dumasem synem, jednym z najlepszych moich przyjaciół. Nasza sztuka nosiła tytuł „Pailles Rompues“ i ujrzała światło kinkietów w teatrze „Gymnase“. Lubię bardzo dramatyczną pracę, chociaż na tem polu nie miałem zbytniego szczęścia. Mimoto nigdy mnie nie przestała zajmować scena i wszystko, co ma jakiś związek z teatrem i najszczęśliwszym dniem mego życia był, ten w którym przeróbka z z mojej powieści „Michał Strogow“ uzyskała zupełne powodzenie na deskach teatralnych.

Nieraz już mnie zapytywano skąd mi przyszło na myśl pisać naukowe podróże. Otóż zawsze miałem wielki pociąg do badań geograficznych. Pisząc pierwszą moją książkę „Pięć tygodni w balonie“, wybrałem Afrykę na tło mojej opowieści z tej prostej przyczyny, ponieważ ta część świata stosunkowo najmniej jest znaną. Skończywszy tę pracę, posłałem rękopis nowemu nakładcy paryskiemu Hetzlowi. Ten przeczytał książkę, uznał, że jest interesującą i uczynił mi propozycyę pisania dalej w tym duchu i tonie, co odrazu przyjąłem. Firma ta właśnie przygotowuje teraz wydanie siedmdziesiątej z rzędu mojej powieści.

— Czy książka pańska zyskała odrazu uznanie?

— Tak — odparł Juliusz Verne skromnie — „Pięć tygodni w balonie“ do dziś należy do najbardziej poczytnych moich powieści. Kiedy się ta pierwsza książka moja pojawiła, miałem trzydzieści pięć lat i od ośmiu już lat byłem żonatym. Zabierając się do pracy autorskiej miałem zgromadzonych tysiące wycinków gazetowych, odnoszących się do rozmaitych odkryć i kwestyi naukowych. Wycinki te rozklasyfikowałem starannie wedle przedmiotu, do których się odnosiły.

— Czy pomysły do swoich powieści czerpał pan także z tych notatek?

— Trudno coś o tem powiedzieć. Nieraz latami nosiłem jakiś pomysł w głowie zanim przeniosłem go na papier. Pierwszy jednak zarodek moich powieści dały mi nieraz owe notatki. N. p. „Podróż naokoło ziemi w 80 dniach“ powstała pod wpływem przeczytanej w dziennikach notatki, że dziś możebnemby było objechać ziemię w 80 dniach. Kiedym ten artykulik kronikarski przeczytał, błysnęło mi w głowie, że takiemu podróżnikowi w ciągu drogi musi albo jeden dzień przybyć wskutek różnicy w godzinach wschodu słońca albo też ubyć. Ta pierwsza myśl stała się punktem zwrotnym dla mojej powieści. Pani sobie zapewne przypomina, że mój bohater Fogg temu właśnie zadzięczał, że na czas powrócił do domu i wygrał zakład.

— Powieści pańskie różnią się od powieści innych pańskich rodaków tem przedewszystkiem, że rodzaj żeński wcale w nich nie odgrywa wielkiej roli.

— Miłość jest namiętnością zbyt absorbującą człowieka — zauważył Verne z uśmiechem — w piersi jego nie pozostawia miejsca na co innego. Moi zaś bohaterowie potrzebują całej swej bystrości na swe rozkazy, a obecność czarującej młodej kobiety mogłaby się okazać przeszkodą w tem. Zresztą szczególną na to zwracałem uwagę, aby moje opowiadania można było bez wahania także młodzieży dać do rąk.

— Jakiej metody trzyma się pan przy pracy?

— Nie mogę wprawdzie pojąć, co może być ciekawego dla publiczności w tem, jak autor pracuje — odrzekł Verne z wesołym uśmiechem — jednak wtajemniczę panią w sekreta mej literackiej kuchni. Ale proszę nie myśleć, że chcę komu doradzać, by pisał na tę samą modłę; owszem jestem zdania, że każdy z nas na swój sposób pisze i instynktownie natrafia na najlepszą dla siebie metodę. Co do mnie zaś, to najpierw notuję sobie treść mojego nowego opowiadania. Nigdy nie zaczynam pisania, nie wiedząc, co zdarzy się w środku i jaki będzie koniec. Skończywszy ten plan, kreślę sobie projekt każdego rozdziału z osobna i zabieram się do „pierwszego pisania“ na papierze przez pół zgiętym, tak iż połówka pozostaje na poprawki i zmiany. Potem wszystko czytam i piszę jeszcze raz atramentem. Jednak właściwa moja praca zaczyna się, kiedy dostanę z drukarni pierwszą odbitkę szczotkową, bo nietylko robię ogromne poprawki na korekcie, ale nieraz zmieniam całe rozdziały. Dopóki moje dzieło nie zjawi się przedemną zupełnie już wydrukowane, nie mam właściwie jeszcze dokładnego wyobrażenia o niem; na szczęście mój wydawca pozwala mi robić korekt, ile mi się podoba, a ja, korzystając z tej swobody, robię czasem po ośm lub dziewięć korekt i rewizyi. Zazdroszczę tym, co od pierwszego wiersza do ostatniego nie zmieniają ani jednej głoski, jednak nie naśladuję ich.

— Jednak ta metoda musi panu bardzo przewlekać pracę?

— Nie zdaje mi się. Dzięki mej systematyczności w robocie, rocznie przygotowuję dwie książki. Mam nawet dotychczas ich trochę za dużo; właśnie np. pracuję nad powieścią, która wedle owego systemu powinnaby przypaść na rok 1897, a w całości mam pięć rękopisów gotowych do druku. Naturalnie takiej pracy nie można się oddać bez zaparcia się samego siebie. Bardzo rychło spostrzegłem, że sumienna praca i przyjemności towarzyskie nie chodzą z sobą w parze. Kiedy się było młodym, mieszkało się z żoną w Paryżu; żyliśmy w wielkim świecie, gdzie się nigdy nie nudzą. Ale od dwunastu lat obrałem sobie siedlisko w Amiens, miejscu rodzinnem mojej żony. Tu właśnie przed trzydziestu sześciu laty poznaliśmy się. Przyjaciele moi powiedzą pani, że dumniejszy jestem z mej godności radnego miasta Amiens, niż z mego stanowiska literackiego. Muszę bowiem przyznać, że mi wielką przyjemność sprawia współudział w zarządzie miasta.

— A czy pan podróżował?

— No, naturalnie. Lubię podróże i co roku zpędzam pewien czas na moim yachcie „St.-Michel“. Nie mogę sobie nic idealniejszego wyobrazić nad życie żeglarza. Ale z wiekiem przyszło zamiłowanie spokoju i pokoju... I tak teraz — dodał głośny pisarz z melancholijnym uśmiechem — teraz podróżuję przeważnie w świecie fantazyi.

— *A propos* Phineasa Fogga, otóż zdaje mi się, że pan z szczególnem zamiłowaniem wybiera Anglików na bohaterów swych powieści?

— W istocie, przyznaję, że ludzie razy, mówiącej po angielsku, wybornie się nadają na bohaterów awanturniczych przygód.

SPORT.

Posuchę panującą o tej porze roku zwykle co do wiadomości ze świata sportu wyścigowego, przerwało nareszcie ogłoszenie programu wyścigów krakowskich na rok 1895.

Zjazd obejmie 3 dni, a w każdym z nich ma się odbyć po siedm biegów.

Dzień pierwszy, czwartek 20 czewca 1895.

I. „Nagroda Rudawy“, 2500 koron zwycięzcy, 500 koron drugiemu koniowi, dla koni trzyletnich i starszych, urodzonych w Galicyi, Królestwie Polskiem lub Rosyi; meta 1800 mtr.

II. „Nagroda Łobzowska“, 2000 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla trzyletnich i starszych koni kontynentalnych z wyjątkiem francuskich; meta 1600 mtr. Do tej nagrody Jockej Club daje 1000 koron.

III. „Nagroda Cadi'ego“, 2400 koron zwycięzcy, 600 koron drugiemu koniowi dla czteroletnich i starszych koni wszelkich krajów; meta 2000 mtr.

IV. „Nagroda Dyrekcyi“, 8000 koron zwycięzcy, 2000 koron drugiemu koniowi, dla dwuletnich koni wszelkich krajów; meta 1100 mtr.

V. „Bieg sprzedaży“, 1600 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla trzyletnich i starszych koni wszystkich krajów; meta 1600 mtr.

VI. „Nagroda rządowa“ 4000 koron, dla koni trzy- i czteroletnich w kraju urodzonych; meta 1800 mtr.

VII. „Oficerski bieg myśliwski“, Handicap 1400 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu, 200 koron trzeciemu koniowi, dla czteroletnich i starszych koni wszelkich krajów; meta 4000 mtr.

Dzień drugi, sobota 22 czerwca

I. „Nagroda Dam honorowa“, 1400 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu, 200 koron trzeciemu koniowi, dla czteroletnich i starszych koni wszelkich krajów, panowie jeżdżą; meta 2800 mtr.

II. „Bieg sprzedaży“, 1600 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla dwuletnich koni wszelkich krajów; meta 1000 mtr.

III. „Nagroda Wawelu“, 6.000 koron zwycięzcy, 1400 koron drugiemu, 600 koron trzeciemu koniowi, dla trzyletnich i starszych koni wszelkich krajów; meta 3000 mtr.

IV. „Nagroda Prezydenta“ (hr. Romana Potockiego) 3400 koron zwycięzcy, 600 koron drugiemu koniowi, dla 3-letnich i starszych, urodzonych w Galicyi, w Królestwie Polskiem i Rosyi; meta 2000 mtr.

V. „Nagroda rządowa“, 4000 koron dla trzyletnich klaczy krajowych; meta 1600 mtr.

VI. „Nagroda Wisły“ (dana przez austryacki Jockey-Club), bieg z płotami, Handicap, 1600 kor. zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla koni wszelkich krajów; meta 2400 mtr.

VII. „Nagroda miasta Krakowa“, bieg myśliwski, Handicap, 1600 koron zwycięzcy, 400 kor. drugiemu koniowi, dla koni wszelkich krajów; meta 2000 mt.

Dzień trzeci, niedziela 23 czerwca.

I. „Nagroda Kasyna“, Handicap, 1600 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla trzyletnich i starszych koni wszelkich krajów; meta 1200 mtr.

II. „Nagroda Wandy“, 2000 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla koni 2-letnich urodzonych w Galicyi, Królestwie polskiem i Rosyi; meta 900 mtr.

III. „Derby krakowskie“, 32.000 koron zwycięzcy, 6000 koron drugiemu, 2000 koron trzeciemu koniowi, dla trzyletnich ogierów i klaczy kontynentalnych, meta 2400 mt.

IV. „Nagroda austryackiego Jockey Clubu“, 3000 koron zwycięzcy, 1500 koron drugiemu, 500 koron trzeciemu koniowi, dla trzyletnich i starszych koni kontynentalnych z wyjątkiem francuskich, meta 2000 mtr.

V. „Handicap czerwcowy“, nagroda 1600 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla koni wszelkich krajów, meta 2400 mtr.

VI. „Bieg pocieszenia“, nagroda austryackiego Jockey-Clubu, 1600 koron zwycięzcy, 400 koron drugiemu koniowi, dla koni dwuletnich i starszych, które w roku 1895 w Krakowie biegały, a nie wygrały — urodzonych na kontynencie z wyjątkiem Francyi — meta 1200 mtr.

VII. „Wielki Krakowski letni bieg myśliwski“, nagroda 4000 koron zwycięzcy, 1400 koron drugiemu, 600 koron trzeciemu koniowi, dla koni wszelkich krajów, meta 4800 mtr.

Nagrody Jockey-Clubu austryackiego dane będą tylko w takim razie, jeśli przyjęte zostaną przez Radę państwa nagrody rządowe przeznaczone dla toru wiedeńskiego.

* * *

Hr. Stanisława Siemieńskiego ogier kaszt 3-letni „Napagedl“ po Abonnent od Ironie trenuje się w Oberweiden koło Wiednia pod opieką trenera J. Pache (Spider).

Część ekonomiczna.

Wiedeń 5 marca.

(Z.) Pokazuje się, że uzasadnione były obawy, iż jutrzejszy dzień rozpłaty nie obejdzie się bez wstrząśnień. Już dziś jeden z większych ajentów ogłosił niewypłacalność. Ma on do wyrównania różnice kursowe wynoszące 170.000 zł. i nie jest w stanie zapłacić tej sumy, ofiaruje więc swym wierzycielom 40 prc. Dziś sprzedawano w drodze egzekucyjnej jego papiery. Zdaje się, że będzie to największa upadłość, wszelako niezawodnie bardzo wielu spekulantów, operujących na mniejsze rozmiary, także nie zdoła jutro się rozpłacić i nazwiska ich wywieszone będą na czarnej tablicy. Banki czynią wielkie trudności w użyczaniu kredytu, to też gotówka podrożała znacznie na targu. Zakład kredytowy eskontował dziś tylko weksle bardzo poważnych firm i żądał 6 prc., pod warunkiem, że pożyczka będzie wzięta przynajmniej na cały miesiąc, za pożyczki na krótsze termina brał 8 prc.

Z tem wszystkiem tendencya targu dzisiejszego była dość silna, gdyż jakkolwiek słabsi spekulanci musieli sprzedawać, jednakże te sprzedaże paraliżowały zupełnie znaczne zakupna arbitrażu i kilku pierwszorzędnych firm tutejszych. W Berlinie znów podniecająco działa pogłoska o nowej konwersyi rosyjskiej, którą przeprowadzić ma berlińskie towarzystwo dyskontowe. Na wielkie rozmiary rozwinęła się dziś haussa w losach tureckich, gdyż utworzyło się międzynarodowe konsorcyum celem podniesienia kursu tych losów. Wyborna tendencya niemieckiego targu górniczego oddziaływa także na naszą giełdę. Akcye bruxeńskich kopalni węgla podskoczyły dziś w cenie o 15 zł.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 398·10, węgierskie 469.25, Anglobanki 176·50, Uniony 321.25, Bankvereiny 155.50, Länderbanki 287.70, Ludwiki 221·25, Czerniowieckie 309·—, Elbathale 278·25, Renta papierowa 101·35, srebrna 101·30, austryacka złota 125·15, 4% austr. renta wal. kor. 101·15, węgierska złota 124.20, 4% węgierska renta wal. kor. 99.30, dukat 5·80—, 20-frankówka 9·78½, marki 12·07, ruble 1·32½.

Wiedeń 5 marca. Spirytus 15·60.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 7 marca. (*Rada państwa*). W dalszym ciągu debaty nad reformą podatkową przemawiał antysemita Gessmann przeciw reformie, która zdaniem jego nie przyniesie sprawiedliwego rozkładu ciężarów, a będzie tylko nowem obciążeniem ludności.

Z Polaków pierwszy zabrał głos wiceprezes Koła p. Jędrzejowicz i energicznie zbił zarzuty posła Kaisera, jakoby Galicya przy wykupnie indemnizacyi i propinacyi otrzymała od państwa sute prezenty. Galicya nigdy prezentów nie domagała się, tylko tego, co jej się prawnie należało. Następnie omawiał p. Jędrzejowicz przedmiotowo reformę podatkową i przyznał, że pociąga ona do opłaty podatków takie klasy ludności, które dotychczas nic nie płaciły. W dalszym toku zaznaczył mówca stanowisko Koła polskiego i wykazał potrzebę zniżenia podatku gruntowego i przyczyniania się skarbu państwa na potrzeby autonomii. Podniósł także p. Jędrzejowicz zasługi dr. Dunajewskiego, który przez uregulowanie budżetu dał podstawę do obecnej reformy podatków. Koło polskie popierało go zawsze, chociaż z wielkiemi materyalnemi ofiarami i obecnie także głosować będzie za temi ustawami, dążącemi do wzmocnienia potęgi państwa. Polityki tej trzymać się będą Polacy zawsze w tem państwie, gdzie nasz rozwój narodowy złączony jest ściśle z ideą państwową.

Po p. Jędrzejowiczu przemawiał p. Formanek i sprzeciwiał się tej reformie, wskazując na trudne położenie finansowe krajów.

P. Dipauli wykazywał, że reforma ta ma wiele dobrych stron i przyniesie ulgę biednym ludziom, a dąży do tego, aby wszyscy byli sprawiedliwie traktowani. Następnie przemawiał mówca za tem, ażeby osobom opłacającym 5 zł. podatku przysługujące im obecnie prawo wyborcze pozostawiono nadal, chociaż płacić będą mniej podatku.

P. Lienbacher oświadczył, że dopiero wtedy zgodzi się na to przedłożenie, jeżeli stanowi włościańskiemu przyznane będą znaczne ulgi.

Na tem przerwano debatę.

Na końcu posiedzenia wnieśli pp. Doetz i Hauck interpelacyę, w której zapytali rząd, kiedy przedłoży projekt ustawy zakazującej gry giełdowej w produktach spożywczych i czy wiadomo mu, że niesumienni handlarze dosypują kąkol do mąki.

Następne posiedzenie odbędzie się jutro.

Wiedeń 7 marca. Komisya rolnicza przyjęła wniosek, wzywający rząd, aby zwołał ankietę celem obmyślenia środków zażegnania przesilenia w przemyśle cukrowym. Minister Plener zgodził się na ten wniosek, sprzeciwił się jednak wnioskowi, ażeby państwo nie żądało od fabryk zwrotu bonifikacyi eksportowych od cukru wyprodukowanego po nad ustawą oznaczony kontyngent. Takie zarządzenie byłoby ogromnym i niczem nieusprawiedliwionym podarunkiem państwa dla przemysłu cukrowego. Również sprzeciwił się minister podwyższeniu wewnętrznego podatku konsumcyjnego od cukru i oświadczył, że w powszechnym interesie należałoby sobie życzyć, ażeby państwa porozumiały się i nareszcie położyły raz koniec tym wyścigom w popieraniu przemysłu cukrowego przez premie wywozowe. Tylko przez ograniczenie produkcyi buraków i cukru możnaby uchronić przemysł cukrowy od większych klęsk, w przeciwnym razie nie jest wykluczonym krach tego przemysłu nietylko w Austryi, ale także w innych państwach. W końcu zapewnił minister, że ankietę popierać będzie wedle sił i z całą sympatyą śledzić będzie jej uchwały.

Linc 7 marca. Wczoraj, podczas przedstawienia w teatrze tutejszym, wybuchł pożar w garderobie, znajdującej się na podwórzu. Pożar ugaszono szybko Publiczność zebrana w amfiteatrze, dowiedziawszy się o pożarze, w pierwszej chwili bardzo się zaniepokoiła. Przedstawienie przerwano, a wszyscy widzowie cało wyszli z teatru.

Tryest 7 marca. W procesie przeciw uczestnikom zaburzeń w Pirano zapadł wczoraj wyrok. Jednego z oskarżonych uwolniono, a 13 skazano na więzienie od jednego miesiąca do 2½ lat. Prokurator w swem przemówieniu dowodził, że prawie wszyscy oskarżeni są to ludzie kryminalnie karani, którzy za pieniądze najęci, spełniali akty prawdziwego wandalizmu. Niestety nie udało się odkryć intelektualnych sprawców tych wybryków. Prokurator wniósł w końcu, ażeby wszystkich oskarżonych skazano nie za występek polityczny, lecz za pospolitą zbrodnię.

Petersburg 7 marca. Influenca szerzy się tu w sposób zatrważający.

Peszt 7 marca. Powodzie nawiedziły wiele okolic Węgier. Wszędzie przedsięwzięto potrzebne środki zaradcze. Skutkiem nieustających zamieci śnieżnych musiano na wielu liniach kolejowych wstrzymać ruch pociągów.

Wiedeń 7 marca. Zamiecie śnieżne nawiedziły dolną Austryę, Morawę, Pobrzeże, wiele okolic Węgier i całe węgierskie wybrzeże. Abbazya, Fiume i Zagrzeb są jakby odcięte od reszty świata, gdyż komunikacya z temi miastami zupełnie przerwana. Daje się w nich uczuć brak żywności i drożyzna.

Londyn 7 marca. Do „biura Reutera“ donoszą, że Japończycy zajęli w poniedziałek Niuczwang.

Budżet marynarki na rok 1895/96 podwyższono bardzo znacznie, skutkiem budowy trzydziestu nowych okrętów wojennych.

Petersburg 7 marca. Następca tronu wielki książę Jerzy odpłynął wczoraj do Algieru.

Były minister finansów Wyszniegradzki zachorował niebezpiecznie.

Huelva 7 marca. W kopalniach Soleil koło Coronady wybuchł pożar. 21 górników udusiło się.

Wiedeń 7 marca. Na wczorajszem posiedzeniu komisyi budżetowej oświadczył minister Bacquehem, że fabrykacya surowicy antydyfterycznej postępuje, że powiększono stan koni i że w ciągu lata wyprodukowana będzie taka ilość tej surowicy, iż będzie nią można zaopatrzyć także zagranicę.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 6 marca. M. br. Eissler z Wiednia. S. br. Rudich z Wiednia. J. E. Reindl z Wiednia. G. Tarnawiecka ze Lwowa. S. Willer z Czerniowiec. Dr. B. Straucher z Czerniowiec. H. Mierzeński z Dubowicy. M. Łucka z Galicyi. A. Pohorecki z Dydni. J. i T. Pohoreccy z Dydni. A. Hahnreich z Londynu. H. Adler z Hamburga.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 6 marca. K. Jaworski z Ostrowczyka. J. Teltsch z Stanisławowa. J. Krzysztofowicz z Modzelówki. St. Rutkowski z Stanisławowa. C. de Gintyllo z Kijowa. H. Marx z Offenbachu n. M. M. Hirschler z Preszburga.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 6 marca. A. Narbuttowa z Połomyi. E. hr. Dzieduszycki z Izydorówki. H. Eichner z Komańczy. F. Petermichl z Wiednia. K. Krisch z Cieszyna.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 7 marca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220·— do 223·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 307.50 do 310.50, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 455.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.30 101·—, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·8[illegible] do 10[illegible].50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·90 do 98·60 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·00 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —.—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97.70 do 98·4[illegible], 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Wiedeń 6 marca. Notowania wieczorne. Kredyty 396·87, węgierskie kredyty 466·50, anglobank 176·50, bankverein 157·70, uniony 321·50, länderbank 289·—, akcye kolei państwowych 398·—, lombardy 107.37, elbethal 278.50, akcye tytoniowe 255.00, rima 272·75, alpiny 87·50, renta majowa 101.40, węg. renta złota 124·20, austr. renta koronna 101.00, węgierska renta koronna 99.30, losy tureckie 78·80, marki 60·60, ruble 132·50.

Wiedeń 7 marca (godz. 11 w połudn.) Kredyty 397.25, kred. węg. —.—, Anglobanki 174.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 288.20, Akcye tyton. 256.—, Staatsbahny 398.50, Lomb. (z kup.) 109.65, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.45, Losy tureckie —·—.

46)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Musi-ż ona rzucić to wszystko, co ziemskie i ukochane i odejść samotna w nieznane, dalekie światy? Nie... toby było zbyt okrutnem!

Z głębi duszy jego rwało się namiętne, rozpaczliwe wołanie: Boże! oszczędź jej, a niech karząca prawica Twoja zaciąży nademną jednym!

Błądził jak nieprzytomny po domu, który się takim pustym wydawał bez niej. Listy adresowane do niej, a w tej liczbie jego własny, pisany w wigilię, leżały nierozpieczętowane na stole w przedpokoju. Przystawał co chwila u drzwi, nadsłuchując, ale z wnętrza sypialni dolatywały go tylko głuche jęki, od których serce jego rwało się w kawały. Uciekał na ogród zatykając uszy i złorzeczył tym, którzy mu wzbraniali przystępu do niej. A jednak czuł, że nie byłby w stanie patrzeć na męczarnie jej powolnego konania.

Robota jej zaczęta leżała porzucona na stoliku przy otwartem na park oknie buduaru, w którym całemi rankami zwykła siadywać. Igła tkwiła jeszcze wpięta w cienki batyst miniaturowego czepeczka; książki, które czytała ułożone były na małej etażerce obok jej fotelu. Ostatniemi czasy była bardzo wybredną w ich wyborze, twierdząc, z czego on uśmiechał się niedowierzająco, iż pokarm umysłowy, jaki przyjmowała, może oddziałać na jej dziecko. Gorące łzy, pierwsze jakie wylał w tym dniu boleści, puściły się z oczu Andrzeja na myśl o tem tak upragnionem przez obojga dziecięciu, które nigdy może nie ujrzy Bożego świata. Służba snuła się na palcach po korytarzach, kobiety z oczyma zaczerwionemi od płaczu, mężczyźni z zasmuconemi twarzami. Bob Ryall, przybity i zafrasowany śledził za swoim panem, dogadzając troskliwie a w milczeniu wszystkim jego potrzebom.

— Wszystkiemu winno to przeklęte psisko! — były jedyne słowa, jakie mruknął, ale Andrzej ich nie słyszał.

Stary ogrodnik pracował około nowozałożonego klombu kwiatów, wśród którego leżały rzucone na ziemię długie, szwedzkie rękawiczki i ogrodowe narzędzia Gracyi.

— Dlaczego nie uprzątnąłeś tego, Winterze? — niecierpliwie zapytał Andrzej.

— Nie miałem serca, jaśnie panie — odparł starzec, przesuwając spracowaną ręką po oczach. — To ostatnia rzecz, którą robiła biedna nasza, droga pani. Ona tak lubiła kwiaty... i uwzięła się koniecznie wykończyć ten klomb na przyjazd pana.

Starzec, który życie całe strawił w usługach rodziny, nosił niegdyś Gracyę na ręku i kochał ją jak własne dziecko. Andrzej wiedział o tem, a jednak nienawidził w tej chwili oddanego sługi za to, że ośmielił się mówić o niej jak gdyby jej już nie było na świecie. Po raz pierwszy zamajaczyło mu w myśli, czem życie jego byłoby bez niej... ujrzał się samotnym, opuszczonym, ciałem bez duszy, poruszanem wewnętrznym jakimś mechanizmem, idącem przez życie bez celu, bez otuchy i bez nadziei. Nie! to było niemożliwem!... Ona nie umrze! Bóg nie dopuści do tego!... On ją wydrze ze szponów śmierci.

Nawet matka jego nie mogła udzielić mu żadnej pociechy. Kiedy wyszła do niego, a on spojrzał w jej twarz, z której przez całe życie swoje czerpał otuchę w zwątpieniu, wyczytał w niej tylko boleść i niepokój własny.

— Matko! matko! — wołał, wyciągając do niej ręce jakby po ratunek.

Resztę słów jego zdławiło łkanie.

— Moje biedne, biedne dziecko! — szepnęła lady Zuzanna współczująco.

Długo milczeli oboje, niezdolni przemówić słowa.

— Był to wypadek... Przestraszyła się — objaśniła w końcu lady Marlowe i objaśniła mu, jak szczekanie psa spłoszyło kuce jakichś gości, którzy odjeżdżali z domu; kuce poniosły, przewróciły grooma stojącego przy nich i dziecko, które wsiadało właśnie do kabryoletu. Gracya, zawsze odważna, skoczyła bez namysłu za nimi i schwyciwszy kuce za łby, osadziła je na miejscu.

— Jak mogła... jak mogła tak się narażać — rozpaczał Andrzej, załamując ręce. — Zostawiłem ją pod opieką matki... byłem taki spokojny o nią... Czyż pani Forde Cusacke nie mogła lepiej czuwać nad córką?!...

Po południu przyjechał ojczym Gracyi, przywożąc z sobą Karolka, o którego chora pytała w jednej z rzadkich chwil przytomności.

Andrzej przyjął gości, troszcząc się należycie o ich wygodę i wysłuchał nawet z pozornem współczuciem narzekań pana Forde Cusacke na niegodziwe urządzenie kolejowe. Ulitował również się nad Karolkiem, który był okropnie wystraszony i blizki płaczu. Przypominały mu się słowa Gracyi, która raz rzekła: Gdyby jutro wypadł dzień sądu ostatecznego, papa pewnie jeszczeby narzekał, że musi dla niego odłożyć ważne jakieś zebranie i groziłby, że napisze o tem bezprawiu artykuł do *Timesa*.

Zdawało mu się, że widzi okolicznościowy wyraz twarzy, jaki pan Forde Cusacke przybrałby na pogrzebie, że słyszy banalne jego kondolencye nad smutnym wypadkiem i zaciskał zęby, aby nie wybuchnąć wściekłością bólu i irytacyi.

— To już nie może potrwać długo — usłyszał półgłosem wyrzeczone słowa doktora Claytona do drugiego kolegi lekarza, w chwili gdy razem opuszczali pokój.

Zimny dreszcz przeszedł go od stóp do głowy. Odwrócił się i wyszedł, nie pytając o nic. W myśli stanęła mu Gracya taka, jaką ją widział w chwili, gdy żegnała go na stacyi. Chciała koniecznie wejść z nim do wagonu, ale ją powstrzymał z obawy, aby jej nie potrącono, albo nie pośliznęła się na stopniu. Otaczał ją taką troskliwością na każdym kroku. Na co się to wszystko przydało?... Z okna swego przedziału długo wpatrywał się w jej twarzyczkę słodko uśmiechniętą i nagły smutek ścisnął go za serce, jakby przeczuł, że był to jej ostatni uśmiech.

Błądząc bezmyślnie po długich, pustych korytarzach, nagle zatrzymał się usłyszawszy z za drzwi jednego z sąsiednich pokojów ciche, żałosne kwilenie dziecka, którego narodziny zwiastowano mu przed chwilą. Wiadomość tę przyjął obojętnie i z roztargnieniem, zaledwie zastanowiwszy się nad nią. Jednakże ten stłumiony płacz niemowlęcia poruszył w nim uśpione struny ojcowskiego uczucia. Cicho uchylił drzwi i ujrzał na ręku mamki maleńką istotkę nawpół zapomnianą i witaną bez radości przez wszystkich domowników.

— Biedactwo! rzekł, biorąc ją na ręce i spoglądając z głęboką litością na drobną, zaczerwienioną twarzyczkę. Z jakiemże upragnieniem wyglądano w rodzinie przybycia na świat tej dzieciny, a jak niechętnie przyjęto ją dzisiaj, kiedy życie jej groziło śmiercią matce! Andrzej przytulił córkę do zbolałej piersi; wszak to była cząstka jej istoty... Cichy płacz ukoił się stopniowo; maleńka zasnęła spokojnie w ciepłym uścisku ojcowskich ramion, a jemu nagle w sercu zrodziło się głębokie, namiętne uczucie dla tego dziecka, dla którego Gracya oddawała życie, a on całe szczęście swoje, w którem duch i serce obojga zespolone z sobą, odżyć miały w istocie zrodzonej z ich krwi i kości.

— Czy będzie żyć? -- spytał bez tchu, śledząc oczyma bezwiedne ruchy, niekształtne rysy i oddech dzieciny, przedwcześnie przyszłej na świat. I huśtał ją ostrożnie na ręku, nucąc jej jakąś kołysankę głosem ochrypłym z bólu. A matka tymczasem walczyła ze śmiercią przez dzień cały, dając słabe zaledwie oznaki życia. Około północy dopiero doktor Clayton wyszedł z pokoju chorej z rozpromienioną twarzą.

— Niech sobie sir Parker i drudzy koledzy mówią co chcą — rzekł półgłosem — żaden z nich nie wie, jaki zasób żywotności tkwi w jej organizmie.

— Więc pan mówisz, że... zaczął Andrzej, ale nie mógł dokończyć. Głos jego, spokojny dotąd, zadrgał nerwowo, ze spiekłych powiek trysnęły łzy długo powstrzymywane.

— Mówię, że wszelka nadzieja nie jest straconą, choć koledzy moi twierdzą przeciwnie — odparł młodzy lekarz. — Chora ma silną konstytucyę, zdrowy organizm, umysł wolny od wszelkiej troski i otoczona jest jak najlepszą opieką. W tych warunkach siły żywotne mogą zwalczyć najcięższą chorobę. Sądzę, że przetrwa ten kryzys.

I tak się też stało ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich lekarzy, a zwłaszcza sir Parkera, który nigdy nie mógł przebaczyć Gracyi, że kłam zadała jego wiedzy. Doktór Clayton tryumfował, nie posiadając się z radości, choć przez długie następne tygodnie chora leżała jeszcze pomiędzy życiem a śmiercią.

Pewnej nocy Andrzej, któremu częściej teraz już dozwolono czuwać przy jej łożu, przeraził się, sądząc, że już duch z niej uleciał. Leżała tak spokojnie i bez ruchu w bladem świetle matowej lampy, puls miała taki słaby, że mąż zrozpaczony rzucił się na kolana u stóp jej łoża, błagając Boga, aby ocalił jej życie. Bezwiednie użył tych samych prawie słów, jakiemi modliła się ongi Renata gdy jemu groziło niebezpieczeństwo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.